

KAMENIA

LUBLIN

15.V.1964

Nr 9 (295)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

POZA LEKCJĄ POZA SZKOŁĄ

JERZY KREMPA

ZAGADNIENIE polepszenia pracy wychowawczej wysuwamy dzisiaj na jedno z czołowych miejsc dlatego, że obecna szkoła daje młodzieży określone wykształcenie, ale słabo jeszcze wychowuje i nie przysposabia w pełni do życia i działania społecznego.

Wprawdzie do zadań obecnej szkoły należy organizowanie zajęć młodzieży w godzinach pozalekcyjnych (czynią to również placówki wychowania pozaszkolnego, organizacje młodzieżowe oraz inne instytucje), jednak pełna realizacja tego zadania jest trudna, ponieważ nasze szkoły pracują w bardzo ciężkich warunkach (na dwie i trzy zmiany) i nie zawsze mogą organizować w szkole pozalekcyjny czas młodzieży i rozwijać jej różnorodne zainteresowania. Organizacje młodzieżowe i rodzice nieraz nie umieją lub nie mogą zapewnić młodzieży należytej opieki wychowawczej.

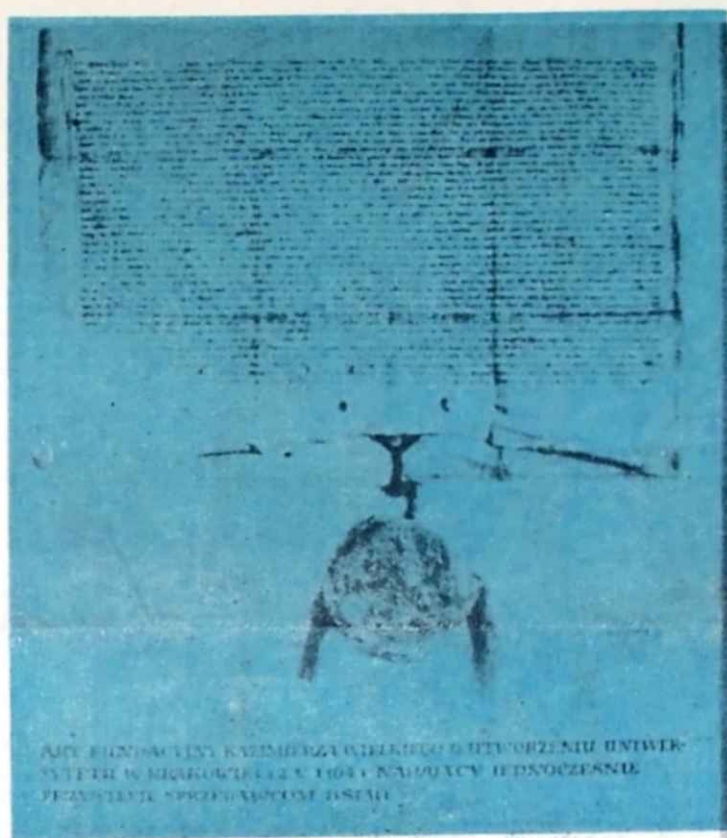
W takich warunkach młodzież często nudzi się, gdyż rozpiera ją energia życia, wówczas całą swoją inicjatywę i przedsiębiorczość skierowuje na działania, które częstokroć stoją w sprzeczności z zamierzeniami wychowawczymi szkoły, domu rodzinnego, organizacji młodzieżowych i społecznych prowadzących pracę ideowo-wychowawczą wśród młodzieży.

Toteż u wielu uczniów nie przejawia się w stopniu dostatecznym zainteresowanie nauką i techniką, kulturą i sztuką oraz życiem społeczno-politycznym. Często brak określonym grupom młodzieży aktywnego stosunku do tego, co się wokół nich dzieje, brak nawyków kulturalnych i społecznie użytecznych.

Współczesna i przyszła cywilizacja wymaga ludzi coraz lepiej przygotowanych do twórczego, aktywnego uczestnictwa w pracy produkcyjnej, w działaniu na odcinku nauki, techniki i kultury, oraz na odcinku życia społecznego i politycznego, ludzi o dużej wiedzy i kulturze ogólnej i technicznej, wyrobionych społecznie, z umiejętnościami współdziałania społecznego, rozumiejących rzeczywistość społeczną, w której żyją i będą działać, takich ludzi, którzy potrafią również w sposób kulturalny spędzać wolny czas, kształtując swoją postawę, właściwy stosunek do świata i życia, do pracy i ludzi pracy.

Reformowane zgodnie z uchwałą VII Plenum KC PZPR programy nauczania i wychowania naszych szkół wyraźnie wskazują, że głównym zadaniem szkoły i jej organizacji młodzieżowych jest przygotowanie młodzieży do pracy i życia, wychowanie młodego pokolenia na współgospodarzy i budowniczych socjalizmu.

Praktyka życia wykazała dotychczas, że nasze szkoły nie są jeszcze (Dokończenie na str. 2)



ICH SZEŚĆSETLECIE

JACEK WOJCIECHOWSKI

W KRAKOWIE nie słyhać już przekleństw brukarzy, wpucało się miasto na uniwersyteckie święto*. Wokół rynku, na nowej, asfaltowej nawierzchni, stoją ludzie. Krakowskie tempo życia nie jest znów tak wielkie, żeby nie można pogapić się na nowiutką, kamienną mozaikę wokół sukienki. Zdziwienie, że to już. Tyle gorączkowych przygotowań, prac o niezwykłym tu tempie i oto już — ten podwójny jubileusz. Podwójny, bo 12 maja 1364 roku król Kazimierz Wielki, powołując do życia Krakowską Akademię, nadał równocześnie szereg przywilejów sprzedawcom książek. Dziś ta data jest przyjmowana jako początek dziejów polskiego księgarstwa. Widocznie mądry król przeczuwał, że nadejdzie kiedyś epoka jubileuszy i w ten sposób chciał ułatwić pracę przyszłym pokoleniom! No bo podwójny jubileusz to jednak zawsze mniej trudu, niż dwa odrębne.

Mamy więc uroczyste święto ludzi książki, właśnie w maju. Jubileusz Uniwersytetu uświetnią imprezy i wystawy, obrazujące bogaty dorobek naszego księgarstwa.

Przez te sześćset lat księgarstwo przeszło wielką ewolucję. Związane początkowo nierozdzielnie z ruchem wydawniczym i drukarstwem, dopiero w XIX wieku rozpoczęło swoje specjalistyczne wyodrębnienie. Spo-

leczenie postępową rolę księgarstwa doznawała z czasem pewnych załamań, kiedy to księgarstwo stawało się przede wszystkim interesem. Szczególnie charakterystyczne są pod tym względem lata międzywojenne. Słynna była sprawa postępowego Związku Polskich Pracowników Księgarskich, który został w 1922 roku wchłonięty przez reakcyjny wówczas Związek Księgarzy Polskich. Po wojnie rola księgarstwa uległa dalszemu przemianom. Stało się ono jednym ze społecznych ogniw kulturalnego oddziaływania.

Lublin odegrał w dziejach księgarstwa rolę niepoślednią. To tu, w roku 1836, na Krakowskim Przedmieściu, Stanisław Arct założył sklep papierniczo-księgarski, który z czasem przekształcił się w słynną firmę wydawniczą. A potem tak się jakoś składało, że najważniejsze etapy w historii księgarstwa właśnie w Lublinie brały swój początek. W 1918 roku tu właśnie odbył się pierwszy w dziejach zjazd księgarzy polskich. No i zrozumiałe, że po wyzwoleniu, w 1945 roku, znów tutaj wszystko się zaczęło. Między innymi wtedy powstały spółdzielnie wydawniczo-księgarskie, „Książka” i „Czytelnik”, które potem uciekły do Warszawy. Wiadomo, stolica.

A jak wygląda księgarstwo dziś, po sześciuset latach istnienia? No cóż, dość daleko odbiegło od swego pierwowzoru, to już skomplikowana,

wysoko zorganizowana machina. Jest daleko wyspecjalizowana, mamy specjalistyczne księgarnie, wysyłkowe, kolporterów; oddzielono sprzedaż hurtową („Skladnica Księgarska”) od detalicznej („Dom Książki”). Ma szeroko rozbudowaną sieć księgarń, liczącą około 1400 placówek, z czego prawie 400 w małych miasteczkach i wsiach. Tych ostatnich zresztą jest stanowczo zbyt mało. Księgarze mają ruchliwą, chociaż licznie niewielką organizację, skupiającą 3,5 tys. członków, Stowarzyszenie Księgarzy Polskich. Mają też znakomitą prasę fachową, w postaci tygodnika „Przegląd Księgarski i Wydawniczy” i kwartalnika „Księgarz”. Przede wszystkim jednak księgarstwo jest dziś poważnym partnerem w działalności kulturalno-oświatowej. Nieprzypadkowo znalazło się w gestii Ministerstwa Kultury i Sztuki, a nie, na przykład, Handlu Wewnętrznego.

Każdy, kto orientuje się, z jakimi trudnościami walczy kultura na prowincji, rozumie dobrze, co znaczy księgarnia w miasteczku, albo zgoda na wsi. Odsetek kupujących książki wcale jest niemały wśród tych, którzy mają stały kontakt z książką. Przecież nie ma innej możliwości systematycznego korzystania z literatury rolniczej, jak tylko kupno własnej, choćby kilkutomowej, biblioteczki. Oczywiście wsie z własnymi księgarniami są jeszcze rzadkością i długo jeszcze nią będą. Zresztą nie wszędzie księgarnia jest niezbędna, istnieje przecież sieć kolporterów „Domu Książki”, zmotoryzowanych księgonoszy. Niemniej liczba placówek księgarskich na prowincji stale rośnie.

Coraz częściej spotyka się pawilony z prefabrykatów, w których sprzeda-

* P. w numerze 8 „Kamień” art. „Kształt Jubileuszu”.

(Dokończenie na str. 3)

POZA LEKCJĄ POZA SZKOŁĄ

(Dokończenie ze str. 1)

w pełni przygotowane do takiego wychowania młodzieży. Pracujemy więc obecnie nad wzbogaceniem treści, form i metod pracy dydaktyczno-wychowawczej naszych szkół, dążąc do powiązania ich z życiem przez wprowadzenie politechnicznego kształcenia młodzieży.

Szkola współczesna powinna zapoznać młodzież z elementami wiedzy technicznej, z postęпами w tej dziedzinie i rolą, jaką odgrywa technika w naszym dzisiejszym życiu i jaką odgrywać powinna w przyszłości.

Powinna ukazywać młodzieży perspektywy przyszłości, kształtować wśród młodzieży świadomą dyscyplinę, systematyczność w pracy, poczucie odpowiedzialności za każde powierzone zadanie, słowem — wyrabiać właściwą postawę i socjalistyczną moralność. Osiągnięcia w pracy dydaktyczno-wychowawczej naszych szkół są już i będą nadal niewątpliwie dużym krokiem naprzód w przygotowaniu młodzieży do współczesnego życia. Z doświadczeń wynika jednak że najlepsza szkoła i organizacja młodzieżowa powiązana ze wszystkimi dziedzinami praktycznej działalności, z produkcją materialną, z działalnością ludzi i z życiem społecznym, nie zapewni jeszcze pełnego, wszechstronnego wychowania młodzieży dla teraźniejszości i przyszłości, jeżeli nie będzie rozwijać samorządnej działalności społecznej, pozalekcyjnej i pozaszkolnej.

Młodzież w dobie dzisiejszej powinna interesować się życiem w różnych jego aspektach oraz mieć własne upodobania i również osobiste zamiłowania. Faktem jest, że młodzież nasza styka się przecież codziennie poza szkołą ze środowiskiem społecznym, z dobrami materialnymi, społecznymi i politycznymi tego środowiska, z życiem ludzi, ze stale rozwijającą się cywilizacją — z całym bogactwem treści, form i środków oddziaływania wychowawczego. Nie można pozostawiać jej w zaspokajaniu tych życiowych, naturalnych potrzeb samej sobie. Nie można zostawiać młodzieży poza szkołą bez zapewnienia dobrej opieki pedagogicznej gdyż prowadziłoby to do trudności i wypaczeń wychowawczych, nieraz nawet do chuligaństwa, a nawet przestępczości.

Wychowanie młodzieży poza procesem lekcyjnym w szkole i poza szkołą nabiera w dobie dzisiejszej, szczególnie w naszym kraju budującym socjalizm, coraz większej wagi, jest zadaniem trudnym, które wymaga głęboko przemyślanej prawidłowości, szybkiej realizacji.

Dzisiejsze wychowanie pozalekcyjne i pozaszkolne w wyniku zdobytych doświadczeń dzięki swoim ideowym treściom, różnorodnym, samorządnym formom i metodom pracy, umożliwia znacznej liczbie młodzieży pogłębienie wiedzy i zainteresowań, skutecznie poszerza proces lekcyjny, zbliżając młodzież do współczesnych zagadnień społecznych i politycznych, ważnych dla rozwoju kraju. Trzeba więc w dziedzinie szkolnej poświęcić temu zagadnieniu więcej uwagi i do celu prawidłowego organizowania pracy ideowo-wychowawczej.

Na rozwój form wychowania pozalekcyjnego i pozaszkolnego w naszym kraju rzutuje obecny stan warunków w szkołach, sieć placówek i kół zainteresowań, form i metod uczestnictwa młodzieży w zajęciach, jak również sposób doskonalenia kadry inżynierskiej, metod wykonywania nadzoru pedagogicznego itd.

Wychowaniem poza procesem lekcyjnym zajmuje się w kraju wiele resortów i instytucji, ale Ministerstwo Oświaty odpowiada za całość wychowania pozalekcyjnego i pozaszkolnego, jest głównym inicjatorem i organizatorem tego procesu.

W szkołach ogólnokształcących i wszystkich typach szkół zawodowych oraz w zakładach kształcenia nauczycieli wychowanie pozalekcyjne i pozaszkolne realizuje się przez zajęcia świetlicowe, kółka zainteresowań, czytelnictwo, sport, krajoznawstwo i turystykę, prace społecznie użyteczne i tzw. imprezy masowego oddziaływania wychowawczego na młodzież,

jak np. różne uroczystości szkolne, koncerty, widowiska teatralne, filmowe, pokazy, wystawy, działalność organizacji młodzieżowych i społecznych itd.

Placówki wychowania pozaszkolnego, a więc place gier i zabaw, boiska sportowe, ogrody jordanowskie, świetlice międzyszkolne i młodzieżowe świetlice dworcowe, ogniska pracy pozaszkolnej, domy kultury i pałace młodzieży w podobnych do szkół formach rozwijają działalność ideowo-wychowawczą poza szkołą w zakresie wiedzy o społeczeństwie i przyrodzie, rozwijają wychowanie techniczne i artystyczne, sport i turystykę wśród młodzieży.

Wychowaniem pozalekcyjnym i pozaszkolnym obejmujemy większość młodzieży szkolnej uczącej się w szkołach, w wieku od 7 do 18 lat. Poza popularnymi kółkami zainteresowań uczniowie biorą jeszcze udział w pracy świetlicowej.

Wielu uczniów bierze udział w 2-3 kółkach zainteresowań, szczególnie w średnich szkołach ogólnokształcących i zawodowych.

Przy omawianiu zagadnień wychowania pozalekcyjnego i pozaszkolnego prowadzonego przez szkoły, organizacje młodzieżowe i społeczne oraz placówki wychowania pozaszkolnego podkreślić należy, że Ministerstwo Oświaty traktuje formy tej działalności jako jedno z ogniw ogólnego systemu wychowania młodzieży. Wszelka praca pozaszkolna z młodzieżą musi być więc powiązana z działalnością dydaktyczną — wychowawczą szkoły, powinna stanowić jej przedłużenie i uzupełnienie, szczególnie w organizowaniu wolnego czasu.

Zadaniem placówek wychowania pozaszkolnego jest budzenie i rozwijanie zainteresowań młodzieży w dziedzinie nauki, techniki, w różnych dziedzinach kultury i sztuki, wykrywanie i rozwijanie twórczych uzdolnień i tematów u młodzieży, podnoszenie jej rozwoju fizycznego i zdrowotnego, organizowanie kulturalnej rozrywki i zabawy, udzielanie pomocy w wyborze zawodu. Wszystkie te zajęcia mają na celu wdrażanie młodzieży do umiejętnej, samorządnej organizacji czasu wolnego od zajęć szkolnych i do wypełniania tego czasu w sposób kulturalny i pożyteczny.

Zajęcia pozaszkolne nie są i nie mogą być powtarzaniem lekcji i różnią się tym od pracy w szkole, że uczestnictwo młodzieży w tych zajęciach jest dobrowolne. W pracy pozaszkolnej stosowane są inne metody zajęć niż w szkole. Obowiązuje tutaj zasada różnorodności i atrakcyjności tych zajęć oraz potrzeby dostosowywania ich do zainteresowań młodzieży i potrzeb środowiska.

Placówki wychowania pozaszkolnego skupiają we wszystkich formach pracy blisko 200 tysięcy stałych uczestników-uczników szkół wszystkich typów.

Łącznie z zajęć w placówkach wychowania pozaszkolnego i zajęć pozalekcyjnych w szkołach korzysta ponad 25% ogółu młodzieży uczącej się w szkolnictwie podstawowym i średnim.

Szkoły i placówki wychowania pozaszkolnego prowadzą poza tym tzw. imprezy masowe, z których korzysta rocznie ponad 2.000.000 uczniów.

Wychowanie pozaszkolne młodzieży prowadzi jeszcze inne resorty i instytucje, a mianowicie:

- Ministerstwo Kultury i Sztuki,
- Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki,
- Liga Obrony Kraju,
- Towarzystwo Przyjaciół Dzieci,
- Związki Zawodowe,
- organizacje młodzieżowe,
- różne organizacje społeczne.

W sumie jednak ogólny procent młodzieży objętej wychowaniem pozalekcyjnym i pozaszkolnym jest nie wystarczający w stosunku do potrzeb w różnych środowiskach, a zwłaszcza na wsi.

Przyznać trzeba, że uczestnictwo w zajęciach pozalekcyjnych w szkołach i kółkach zainteresowań — placówek wychowania pozaszkolnego oraz w imprezach masowych jest już dosyć liczne i stale wzrasta. Wiele placówek wychowania pozaszkolnego, mimo dużego wkładu państwa w ich urządzenie i obsadę kadrową, nie jest jednak w pełni dostatecznie wykorzystanych. Frekwencja jest na zajęciach często słaba, w godzinach przedpołudniowych placówki świecą pustkami, chociaż są uczniowie, którzy w tym czasie rozporządzają wolnymi chwilami od zajęć szkolnych i potrzebna im jest opieka wychowawcza. Dyrekcje i kierownictwa szkół słabo jeszcze interesują się tym zagadnieniem, a placówki wychowania poza-

Zywotna inicjatywa

EDWARD NADULSKI

W SPÓŁPRACA kulturalna czterech województw Polski Wschodniej, rozpoczęta w 1961 roku, odgrywa poważną rolę w stwarzaniu lepszych warunków dla awansu kulturalnego tych ziem, niegdyś bardziej zaniedbanych niż inne regiony Polski.

Ziemie te łączy mimo pewnych odległości regionalnych historia, położenie geograficzne i warunki społeczno-ekonomiczne.

Zaniedbania z okresu zaborów i okresu dwudziestolecia międzywojennego nie sprzyjały właściwemu rozwojowi życia społeczno-gospodarczego i kulturalnego. Cechował je niski poziom gospodarki rolnej, prawie zupełny brak przemysłu i najmniejsza w kraju sieć dróg. Poziom życia i kultury sięgał poziomu innych regionów Polski. A okres okupacji przyniósł poważne zniszczenia i zagładę wielu tysięcy ludzi. Ziemie nasze były terenem bohaterskich walk i masowego oporu wobec nawały hitlerowskiej. Korzystne warunki dla rozwoju naszych regionów stwarza dopiero okres powojenny.

Następuje odbudowa i rozbudowa zniszczonych i zdewastowanych terenów. Stajemy się świadkami ogromnego nakładu sił i energii całego społeczeństwa, aby nadać za ogólnokrajowym tempem rozwoju. Do nadrobienia mamy wiele w licznych dziedzinach naszego życia społeczno-gospodarczego, w oświacie i kulturze.

Jesteśmy przede wszystkim województwami rodzimymi o szybko zdobywanym potencjale przemysłowym. Problem uprzemysłowienia naszych województw jest zagadnieniem istotnym z uwagi na bazę surowcową, jaką stwarza rolnictwo i bez tej bazy materialnej związanej z industrializacją i wszystkimi zagadnieniami ekonomiczno-społecznymi nie możemy

rozpatrywać naszych zjawisk kulturalnych.

Najważniejszą ostatnio inwestycją Lubelszczyzny jest budowa Fabryki Związków Azotowych w Puławach — jednego z największych tego rodzaju zakładów w Polsce, oraz rozbudowa w Chełmie jednej z największych cementowni w kraju.

W perspektywach rozwoju Ziemi Kieleckiej ważne miejsce zajmują same Kielce, stając się dużym ośrodkiem przemysłu ciężkiego. Rozbudowuje się Fabryka Samochodów Ciężarowych w Starachowicach, w Konskich powstaje nowy obiekt — Zakłady Metalurgiczne Przemysłu Maszyn Budowlanych.

W województwie białostockim w związku z rozwojem rolnictwa, przewiduje się zmeliorowanie ogromnego bagna Wizna, budowanie dwóch przetwórczych owocowo-warzywnych w Białymstoku i Dąbrowie, budowę fabryki urządzeń chemicznych.

Poważny rozwój gospodarczy dokonuje się również w województwie rzeszowskim. Około 95 proc. nakładów inwestycyjnych przypada na przemysł kluczowy. Ważniejsze inwestycje to Zakłady Przetwórcze Siarki w Tarnobrzegu, zespół elektrowni Solina — Myczkowce, Krośnieńska Huta Szkła.

Przytoczone fragmentarycznie przykłady gospodarczego rozwoju ziem czterech województw w planie 5-letnim, na lata 1960—1965, świadczą o dużej dynamice i ambicjach ich mieszkańców. Z tego wynikają wspólne zadania gospodarcze, za którymi idą zadania oświatowe i kulturalne.

Zmiany, jakie nastąpiły w okresie ubiegłych lat dwudziestu, są tak znaczne, że trudno je tutaj wszystkie wliczać. Mamy na naszych ziemiach rozbudowaną sieć szkół, bibliotek, czytelników, domów kultury, kin, uniwersytetów powszechnych, powstają muzea i towarzystwa regionalne, rozwija się ruch amatorski, rodzą się kluby telewizyjne, kluby „Domu Książki” i „Prasy”, ośrodki odczytowe itp.

Współpraca czterech województw stwarza cztery warunki dla lepszego rozwoju wielodziedzin kultury, wyznacza zarazem kierunki dalszego współdziałania w budowaniu nowego jutra.

Postuluje się więc konieczność wzajemnej wymiany doświadczeń, poszukiwanie najlepszych form kontaktów, ocenę planów pracy i metod działania, podejmowanie wspólnych zadań upowszechniających zdobycze kultury, popularyzujących wiedzę o naszych regionach, wspólne badania naukowe, wreszcie poszukiwanie form właściwego wykorzystywania szczupłych środków finansowych, zabezpieczenia podstawowej bazy materialnej i doskonalenia kadr.

Dwuletnia współpraca przyniosła dobre wyniki w postaci wzajemnego zblżenia, poznania wielu ośrodków pracy kulturalno-oświatowej, zaktywizowania środowisk twórczych współpracujących regionów, wytworzenia atmosfery sprzyjającej rozwojowi wysuwanym inicjatyw i integracji poszczególnych środowisk.

Zywe wzajemne kontakty nawiązały biblioteki, domy kultury, muzea i przedsiębiorstwa artystyczne.

Wspólne seminaria i kursy oraz spotkania grup pracowniczych poszczególnych działów bibliotek wojewódzkich zaznajomiły bibliotekarzy z organizacją i kierunkami różnorodnej działalności tych placówek. Problemowa konferencja dyskusyjna nad bibliografiami regionalnymi przyczyniła się do określenia zasięgu i zakresu tego rodzaju bibliografii lokalnych.

Ostatnio podjęto wspólną akcję badawczo-naukową pod nazwą „Literatura i prasa rolnicza w środowisku wiejskim”, której wyniki mogą być cennym materiałem dla planów wydawniczych i działalności oświaty rolniczej.

Wojewódzkie domy kultury organizowały wspólne seminaria dla kierowników i instruktorów powiatowych poradni kulturalno-oświatowych oraz prowadziły wymianę wykładów na kursach i konferencjach.

Muzea okręgowe zorganizowały doskonalanie pracowników poprzez terenowe objazdy sąsiednich województw dla pogłębienia wiedzy o danym terenie.

Staraniem dyrekcji tychże muzeów zorganizowano cykle odczytów oraz opracowano projekt „Informatora Mu-

szkolnego nie zawsze są inicjatorami zajęć w godzinach przedpołudniowych.

Rekrutacja młodzieży do kółek zainteresowań w szkołach i na zajęcia w placówkach wychowania pozaszkolnego opiera się w zasadzie na swobodnym, dobrowolnym wyborze zajęć przez młodzież, zgodnie z jej zainteresowaniami. Szkoły i organizacje młodzieżowe nie zawsze zabiegają, aby uczniowie brali większy udział w zajęciach pozalekcyjnych oraz w placówkach wychowania pozalekcyjnego i pozaszkolnego. Korzysta z nich najczęściej młodzież zdolniejsza, dobrze ucząca się, która wykazuje mniej lub więcej skryzalizowane zainteresowania, a nie zawsze ta, która potrzebuje opieki pedagogicznej (sieroty, półsieroty, dzieci pozabawione opieki wychowawczej w domu, słabo uczące się itp).

Ilość zorganizowanych form zajęć pozalekcyjnych i pozaszkolnych jest niewystarczająca w stosunku do ogólnej liczby szkół i uczniów. Możliwość wyboru poszczególnych kół zainteresowań w szkołach i placówkach nie zawsze odpowiada potrzebom środowiska.

Powstawanie kółek zainteresowań w szkołach odbywa się często w wyniku zainteresowania nauczycieli i dogodnych warunków lokalowych itp. Z drugiej jednak strony działalność kółek coraz częściej traktuje się w procesie nauczania i wychowania jako ważny czynnik pogłębienia i poszerzenia wiedzy uczniów. Stąd w wielu szkołach i placówkach cieszą się one dobrą frekwencją młodzieży.

Placówki wychowania pozaszkolnego działają w zasadzie we właściwych środowiskach, często na peryferiach miast, pozbawionych możliwości kulturalnego spędzania przez młodzież wolnego czasu. Również coraz częściej można spotkać organizowanie tzw. ognisk pracy pozaszkolnej, zwłaszcza na wsiach. Na wsi działa szereg świetlic, placów gier i zabaw, otwierają się coraz więcej boisk sportowych, zielonych terenów do zabaw itd.

W sumie, aczkolwiek zrobiono już sporo, warto jednak zastanowić się bliżej nad wykorzystaniem omawianych treści i form pozalekcyjnych i pozaszkolnych w pracy opiekuńczo-wychowawczej, prowadzonej wśród młodzieży danego środowiska, dążąc do rozwoju działalności w treściach i metodach, dostosowanych do wieku, potrzeb i zainteresowań młodzieży.

Jerzy Krempa

(Dokończenie na str. 12)

REWOLUCJA W NAŁĘCZOWIE

HANNA MORTKOWICZ-OLCZAKOWA

28 SIERPNIA 1910 roku Zeromski, odpowiadając Michałowi Sokolnickiemu w związku z jego napisaniem na „Różę”, pisał: „Szanowny Pan. jako autor recenzji, pisząc ją, wiedział dobrze, że autor był tam, gdzie chciał być — i był aż do samego końca, że spełnił sumiennie swój obowiązek i jeżeli nikogo na śmierć nie posłał, jeżeli nie należał do zanoszących ludu polskiego, to jednak od samego początku pisarskiego zawodu należał do samego ludu, do jego pracy o wyzwolenie i do ludowej sprawy!”

A dalej dodaje: „Nie wybrałem rewolucji za temat, idąc wzorem Tetmajera, jak to Szanowny Pan laskawie uwidocznił, lecz sam w rewolucji byłem, toteż miałem prawo o niej wedle sumienia pisać”.

Gdzie był, „chciał być” — jak dumnie stwierdza i to, gdzie chciał być w rewolucji — wiemy dobrze. W Nałęczowie.

Jeśli przyznawał sobie prawo pisania o tej rewolucji, którą przeżył, to dokładnie znał adresy i szczegóły. Nie opierał się na przypuszczeniach i zaszytych wieściach, nie wykraczał zbyt daleko poza zakres swych własnych doświadczeń.

Czy doświadczenia te były dostateczne, aby nazwać się rewolucjonistą? Jedno jest pewne. Na wieść o tym, „co się dzieje w Królestwie i w Rosji” — Zeromski powrócił wiosną 1905 roku z Zakopanego do Nałęczowa, a w liście do Witkiewicza donosił z entuzjazmem: „Wytworzyły się nowe światy, wypłynęły nowe rotły ludzi, ocknęły się olbrzymie i święte idee. We wszystkich czuć drganie nowego życia”.

„Skończyły się dzieje Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i dzieje milej Ojczyzny. Zaczęły się dzieje Najjaśniejszej Rewolucji. W jej ogniu patrzą rozwarły oczy, orle żrenice wieszczów” — zapisał potem w notatkach zawartych w pewnym zielonym zeszytach.

Te wniosły słowa istotnej wiary, prawdziwego entuzjazmu, przetłumaczone na język potocznych zdarzeń, oznaczały przede wszystkim działalność oświatową, zakonspirowaną z konieczności, zebrania i wiecje, na których toczyły się walki z miejscową endecją.

Zeromski przebywał w Nałęczowie w najgorętszym rewolucyjnym okresie od wiosny 1905 do jesieni 1906 roku. Potem znowu — powróciwszy tam z Włoch latem 1907 do jesieni roku 1908 w najtrudniejszych czasach likwidacji rewolucji, zagrożenia politycznego.

Zarówno w okresie entuzjazmu i podniecenia pełnego wiary w przyszłość, jak później, kiedy represje policyjne i nienawiść rodzimej reakcji zabijały wszelkie nadzieje — wielki pisarz żył się nie tylko w twórczości, ale i w pracy społeczno-oświatowej.

Podobnie jak przed laty małżeństwo z Oktawią Rodkiewiczową dało mu szczęśliwe poczucie wspólnoty z jej liczną rodziną, gromadką braci: dwoma Radziwiłłami i dwoma Chmielewskimi, przedstawicielami postępowej inteligencji, tak i teraz w Nałęczowie stał się jednym z gromady, z działającą entuzjazmem dla sprawy. Kierownikami jej i współpracownikami byli: Faustyna Morzycka, dr Julia Rudzka, dr Przemysław Rudzki, Kazimierz Du-

łęba, Helena Dułębina, Felicja Sulowska, dr Szokalski, Janina Góraka i inni. Zeromski, sądząc ze wspomnień Stefana Sempolowskiej, działał także na terenie warszawskim, roznosząc zapomogi strajkującym robotnikom. A i potem jego działalność nałęczowska miała powiązania z postępową pracą oświatową w całym Królestwie. Świadczą o tym zapisane w podręcznym notesie, a zapomniane dziś adresy kilku instytucji, które walczyły wówczas odważnie z ciemnotą proletariatu wsi i miast: Uniwersytet dla Wszystkich — Wspólna 26, Stowarzyszenie dla Nauki Analizatorów Dorosłych — Rysia 5, Towarzystwo Czytelników Miasta Warszawy — Wspólna 26.

Pracę tę, bezinteresowną i odważną wysiłki gromadki lewicowej inteligencji, opisywali w swych wspomnieniach: Walentyna Nagórska, Kazimierz i Helena Dułębowie, Irena Kosmowska, Zofia Zarnecka. Echa jej odnajdujemy również w tajnych raportach policji rosyjskiej.

Zorganizowano więc, na razie w willi „Oktawia”, ochronkę, w której pracujące matki z okolicznych wsi mogły zostawić dzieci na czas swej pracy. Rozpoczęto, także w willi „Oktawia”, doksztalające kursy wieczorowe dla uczniów szkoły rzemieślniczej w Nałęczowie. Powstał z inicjatywy Zeromskiego w połowie listopada 1905 roku Uniwersytet Ludowy, organizowano szereg popularnych wykładów dla dorosłych, wygłaszanych przez prelegentów miejscowych i przyjeżdżających z Lublina i z Warszawy. Obok działalności wykładowej, obok Uniwersytetu Ludowego zainicjowano także Koło Dramatyczne — teatr ludowy. Amatorzy z zapalem grali nawet dzieła tak poważne jak „Dziady” i „Wesele”. W kwietniu 1906 roku została otwarta tajna jednoklasowa szkoła powszechna.

Jednocześnie odbywały się tajne zebrania polityczne, konspiracyjne odczyty, ze względu na ostrożność nie raz nocą po ciemku. Urządzano także obchody patriotyczne — jeden z nich w rocznicę listopadową, w willi „Oktawia”, został zakończony odśpiewaniem Czerwonego Sztandaru. Zwolowano wiecje w Alei Lipowej, które dawały pretekst do jawnych i burzliwych starć z miejscową endecją, rozgłaszającą, że socjaliści korzystają z każdej chwili, żeby podburzać lud. Przemawiali: Zeromski, Daniłowiczki. Pod robotniczą chorągwią przy pochodniach śpiewano chóralnie Czerwony Sztandar — garszka inteligencji, chłopci, trochę robotników.

Zeromski solidaryzował się z najbardziej lewicowym odłamem tej małej grupy. W czasie strajków rolnych pośredniczył między obszarnikami a służbą folwarczną. Uchodził w tym czasie za pepesowca. Tak go notowały policyjne raporty żandarmerii rosyjskiej, za takiego uważali go zaprzyjaźnieni z nim również zwolennicy PPS — Dułębowie. Sam pisarz zarzekał się, że nigdy nie należał do żadnej partii. I nie o to chodził, aby stwierdzić jego formalną przynależność tu czy gdzie indziej. Ważne jest to, że walczył i działał. Za własne pieniądze fundował i budował nałęczowską ochronkę, po ostatecznym rozłamie między prawicą a lewicą stanął na czele organizacji oświatowej postępowców „Światło”, antagonistycznej do endeckiej „Macierzy”. Pod nieustanną grozą aresztowania organizował wykłady, zebrania, obchody.

Cóż pozostało dziś jako pamiątka po tych rewolucyjnych, wedle ówczesnych miar oceny — działaniach?

KAZIMIERA IŁAKOWICZÓWNA

A gdy już do tego przyszło, to można przele — szyfrem, który wypowie wszystko

o najprawdziwszej prawdzie, którą się zdejmuję i kładzie jak przebranie... Żeby się [nie zdradzić.

Mówi się wyraźnymi słowami, każdy myśli, że się kłamie, nikt nie odpowie na nie.

Albo: człowiek w tej prawdzie mieszka schowany na kształt orszaka i do niego nikt się nie mieszka.

Ja jedna wiem, że ona, od dawna przemieniona, rośnie po wszystkich zagonach.

A zboża po zagonach wiatr skubie i blawatki, i skowronki, i wróble, i mnie... I wszystko co lubię.

ROZMOWA z Kazimierą Iłakowiczówną

W dniach 22 i 23 kwietnia br. przebywała w Lublinie znakomita poetka i tłumaczka Kazimiera Iłakowiczówna. Po poranku autorskim, w czasie którego poetka przedstawiła zebrałym świetny esej o Emilii Dickinson, mało w Polsce znanej poetce amerykańskiej z połowy ub. wieku, ilustrowany obficie przekładami utworów E. Dickinson pióra prelegentki, niżej podpisany uzyskał chwilę rozmowy, której fragmenty poniżej.

Zapytana o przekłady wierszy Emilii Dickinson poetka Kazimiera Iłakowiczówna informuje, że do tej chwili przetłumaczyła sto pięćdziesiąt utworów tej autorki, z których część ma wejść niedługo do antologii poetów angielskich (a raczej piszących po angielsku).

O swoich planach pisarskich,

Trochę sprawozdań świadków i aktorów minionych zdarzeń. Wiele ustępów w utworach Zeromskiego. Liczne miejsca i budynki w Nałęczowie. Z porównania tych miejsc i tych słów wynika ciekawe wnioski o realizmie w twórczości Zeromskiego, o rzetelności jego społecznego nastawienia.

Po blisko sześćdziesięciu latach ścieżkami i alejkami wiodącymi przez Nałęczów, wierszami i ustępami „Słowa o bandosie” i „Różę” trafiamy do tych samych miejsc. Oto drewniana willa „Oktawia”, cała w zmuszających drewnianych koronkach szwajcarskich wernad swęj dziewiętnastowiecznej architektury, pod ścianą Góry Armatniej, dawna domena ruchliwej i ofiarnej, wiecznie czynnej i zagonionej pani Oktawii Zeromskiej. Tu odbywały się bezustannie narady, tajne lekcje, zbiegali się ludzie, żeby zarządzić, uczyć, pomagać. Oto znowu słynna szopa „na Palubach”, która została uwieńczona w drugim obrazie „Różę”, dziś wypełniona przez mieszkańców obojętnych dawnym sprawom. W ciemności dyszały tam oddechy zgromadzonych chłopów, zasłuchanej młodzieży, świecili oczy Zeromskiego — fosforycznym blaskiem, o którym wspominał po latach Stanisław Posner. Przemawiał któryś z ofiarnych prelegentów z Lublina czy Warszawy. Na ścianę padała z latarni czarnoksięskiej drgająca wizja rysunku Grottgera. Energiczny parobek, Grześ Wójcik, czałował na drodze, aby wykładawców i słuchaczy nie nakryła

a właściwie wydamoczyć, moja rozmówczyni powiedziała, że ma gotową prozę pamiątkarską „Trzymięski zajęc”, nowy zbiorek wierszy oryginalnych, tomik przekładów wierszy i duży zbiór przekładów wierszy z różnych języków.

Poprosiłem o ocenę literatury dwudziestolecia międzywojennego. „Nie mam właściwie specjalnych zainteresowań literackich i reaguję na wszelkie pisarstwo, jak przeciętny czytelnik — z umiarem mówię o poetce. — Miałam dużo przyjaźni dla Gojawiczyńskiej i Pawlikowskiej, dlatego żywo reagowałam na ich utwory oraz interesowałam się ich powodzeniem. Przejmowałam się również, nieraz bardzo żywo, publicystyką Mackiewicz i Ignacego Matuszewskiego. Od roku 1918 do 1939 byłam bardzo zajęta urzędniactwem, a dla wytchnienia czytywałam powieści angielskie”.

Kiedy mowa o roku 1939, zwykle się niemal mechanicznie pyta o lata wojny. Kazimiera Iłakowiczówna spędziła je w Rumunii i Siedmiogrodzie: „W owym okresie zajęta byłam wkuwaniem języków rumuńskiego i węgierskiego; z trudem czytywałam się w Eminescu, Petőfi i Adyego. Wróciłam do kraju w grudniu 1947 roku, a już w roku 1948 zaczęłam tłumaczyć najpierw „Egmonta” Goethego, potem olbrzymią „Annę Kareninę”.

Ponieważ w rozmowie znakomita poetka z uznaniem wyraziła się o Lublinie, porównując swoje wrażenia z niezbyt miłymi wspomnieniami pobytu w r. 1953, zapytałem o inne, dawniejsze wspomnienia, dotyczące Lublina i Lubelszczyzny: „Niestety mało miałam w życiu do czynienia z Lublinem, raczej ze wsią lubelską w różnych okolicach za lat bardzo dawnych. Ubiegłego lata poznałam Nałęczów: jest fascynujący”.

Na zakończenie rozmowy poetka ciepło wyraziła się o „Kamenie”, wysoko oceniając trud jej redaktora — M. Bęczycy-Rudnickiej, podnosząc „niezmienną chęć służenia pięknu” pisma oraz dodatnią stronę rozszerzenia jego zasięgu na sąsiednie województwa.

Przy pożegnaniu Kazimiera Iłakowiczówna obiecała nie zapominać o Lubelszczyźnie i o „Kamenie”.

Bohdan Królikowski

policja, nie zaskoczyła jakaś nowa prowokacja nienawistnej reakcji, fałszywy a denerwujący alarm.

I wreszcie ochrona, projektowana przez Jana Witkiewicza, ze swym pochylony ceglany dachem. Budynek wystawiony za ciężko zapracowane pieniądze z honorariów autorskich za „Dzieje grzechu”, wywalczony krwawym wysiłkiem, podtrzymywany nadal moralnie i materialnie, nawet po wyjeździe z tych stron. Na jego tle powstał niezapomniany dialog Czarowica z małą Nastką, prześliczny młodzieńczy dwugłos poetycki Olesia i Michała.

Trop w trop możemy tak zestawiać rezultat dokonanej pracy i słowa dokładnego w szczegółach.

Tutaj pani Faustyna Morzycka i Zeromski dawali schronienie 47 zbiegom z lubelskiego więzienia. Tych samych ludzi prowadził potem podziemnym wykopem Piotr Rozłucki w „Urodzie życia”.

Kiedy Zeromski wyjeżdżał z Nałęczowa, wiele jego próśb i nadziei poniosło klęskę. Ale były dzieła, które pozostały. W wybudowanej ochronie bawily się i śpiewali dzieci.

„Szkoła jest skończona i pełna dzieci, nauki, śpiewów, tańców w ogrodzie. Mur opasujący szkołę nakryty dachówką i położony napis nade drzwiami. Wierzby nade drogą szkolną zasadzone i wygracowane ścieżki. Czas jechać...” — pisał Zeromski we „Wspomnieniu o Adasiu”.

(Dokończenie ze str. 1)

je się książki, płyty, reprodukcje, artykuły papiernicze. Szczególnie dużo widziałem ich na Kielecczyźnie, a może tylko tam bardziej rzucały się w oczy. Można dyskutować nad ich estetyką, bo istotnie barwami przypominają nieraz budy jarmarczne, lub schrony przeciwzwołgowe, ale w końcu nie to jest najważniejsze. Pozostaje faktem, że w obecnej sytuacji lokalowej jedynie budowa własnych, tanich pawilonów, może stworzyć odpowiednią bazę dla rozwoju sieci jakichkolwiek placówek kulturalnych. „Dom Książki” jest na razie jedyną instytucją, która się na to zdobyła, może dlatego najmniej cierpi na lokalowe kłopoty.

W Krakowie już doszło do porozumienia „Domu Książki” z Wojewódzką Biblioteką. W przyszłości nowe pawilony zostaną powiększone o lokale dla bibliotek, a całość będzie budowana ze wspólnych funduszy. Nie rozwiąże to wszystkich lokalowych trudności bibliotek, ale pomoże im w kilku przynajmniej wypadkach.

Współpraca księgarń z biblioteką nie jest przypadkiem. Obserwujemy ją na co dzień, bez niej byłoby niemożliwe zaopatrzenie bibliotek w ich podstawowy warsztat — książki. To wcale nie takie łatwe. Książek atrakcyjnych coraz więcej, a nakłady nie nastarczają jeszcze na rosnące zapotrzebowanie. Powiatowa Księgarnia jest nieraz w kłopotach: komu sprze-

dać egzemplarz? Domaga się go sędzia, lekarz, kierownik komisji, sami miejscowi dygnitarze, których absolutnie nie można urazić.

A jednak coraz częściej się zdarza, że bezcenny egzemplarz wędruje do biblioteki. Chwała więc księgarzom! Te książki krążące po terenowych bibliotekach, skromne biblioteczki w wiejskich chałupach, czasem artystyczne reprodukcje zamiast różowitkich aniołków, to właśnie jubileuszowa laurka. Znacznie lepiej, niż obroty w milionach złotych, świadczy o tym, czym jest księgarstwo dzisiaj.

Jack Jacek Wojciechowski

ICH
SZEŚĆSET-
LECIE

Sonet XVIII

Shall I compare thee...

Czy do letnich mam Ciebie porównywać dni —
bowiem pełną uroku posagowych brył,
Ostry wicher, co w maju paki gwał do pni,
wraz z latem coraz krótszym opada z swych sił.

Czasami zbyt gorące świeci nieba oko,
choć nieraz jego złoto zaćmi chmury dym,
Tak jedno piękno w drugie wpływa niby potok
Złienacka się przepłata niby w wierszu rym.

Lecz Twoje wieczne lato nie zna swoich granic,
Ani piękno twe nie wie, czym zatraty dzień;
Śmierć się chęlnie nie może, jej wysiłki na nic,
Więc czai się w pobliżu jak posepny cień.

Dopóki pierś oddycha, a oczy mogą widzieć,
Dopóty żyje to, co Tobie daje życie.

Przełożył
Wacław Gralewski

KU ROZBROJENIU

STEFAN CHANIEC-
CHANACHOWICZ

MOJE rozważania, zamieszczone w poprzednim numerze „Kamery”, zakończyłem pytaniem: „Skoro należyte urządzenie świata wymaga nieodzownie powszechnego i całkowitego rozbrojenia, to skąd ta powszechna satysfakcja z powodu podpisania w ubiegłym roku układu moskiewskiego o zakazie doświadczeń nuklearnych, co przecież nie jest rozbrojeniem? Skąd tyle uwagi światowej dla „planu Rapackiego”, albo — od lutego br. — dla polskiego planu zamrożenia zbrojeń nuklearnych w Europie Środkowej, co również przecież nie jest rozbrojeniem?”

I dodałem: „Dla odpowiedzi ogólnej starczy wskazać, że aby przystąpić do rozbrojenia, należy w pierwszej kolejności zahamować wyścig zbrojeń. Aby odpowiedzieć szczegółowo — trzeba napisać kolejny felieton”.

Więc piszę. Powszechne i całkowite rozbrojenie wymaga, jeśli ma się stać rzeczywistością, odpowiedniego klimatu międzynarodowego. Czynnikiem zaś klimatotwórczym jest co niemiara, ale wymienie tu tylko niektóre i jak mniemam — najistotniejsze, zastrzegając się przy tym od razu, że porządek, w jakim je wymienię, nie oznacza hierarchii ich ważności. Wszystkie są bardzo ważne i wszystkie „grają” jednocześnie. A więc takim czynnikiem kształtującym klimat międzynarodowy potrzebny dla realizacji powszechnego i całkowitego rozbrojenia jest ugruntowane już przekonanie, że powszechne i całkowite rozbrojenie stanowi najpewniejszą gwarancję pokoju świata i bezpieczeństwa narodowego. Bo aby dążyć do czegoś, trzeba być przekonanym, że to do czego się dąży, jest konieczne.

Takim czynnikiem klimatotwórczym jest również przekonanie — a zasługa to XX i XXII Zjazdu KPZR — że obecnie wojna nie jest już nieunikniona, nawet w warunkach podzielonego pod względem ustrojowym świata. Bo aby dążyć do czegoś, trzeba być przekonanym, że to do czego się dąży, jest osiągalne.

Równie niezbędnym warunkiem, aby powszechne i całkowite rozbrojenie stało się rzeczywistością, jest ugruntowanie przekonania, że rozbrojenie nie grozi żadnemu krajowi ujemnymi skutkami gospodarczymi. Czy się to komu podoba, czy nie, ale od czasu, gdy Fenicjanie wymyślili pieniądź, element ten odgrywa nieposłuszną rolę. A nie zapominajmy, że tu chodzi o wielkość nie tyle jakiej. Ze wydatki wojskowe w całym świecie wynoszą 120 miliardów dolarów rocznie, co stanowi 8-9 procent rocznej światowej produkcji dóbr i usług. Ze siły zbrojne wszystkich państw liczą obecnie około 20 milionów ludzi, zaś razem z zatrudnionymi w produkcji dla celów wojskowych licza ta przekracza 50 milionów osób. Ze więc dla krajów, w których produkcja zbrojeniowa traktowana jest tak samo, jak wytwarzanie zamków błyskawicznych czy filmów, tzn. jako normalne źródło zysków, uwolnienie w wyniku rozbrojenia tak wielkich sum i sił wytwórczych może budzić obawy. Tym

bardziej, że nie brak tam ludzi zawodowo specjalizujących się w szerzeniu paniki. To właśnie tłumaczy, dlaczego XV sesja Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych (1960 r.) podjęła uchwałę o powołaniu międzynarodowej dziesięcioosobowej grupy ekspertów (pochodzących z krajów o różnych systemach gospodarczych i o różnym stopniu rozwoju gospodarczym) w celu zbadań gospodarczych i społecznych skutków rozbrojenia. A we wnioskach końcowych raportu tej grupy** między innymi czytamy: „Tak więc, o ile pewne jest, że rządy musiałby podjąć energiczne decyzje, kierując się potrzebami narodowymi i międzynarodowymi, aby uruchomić programy niezbędne dla wykorzystania zasobów uwolnionych przez rozbrojenie, o tyle wydaje się oczywiste, że zaden kraj (podkr. moje — S. Ch.) nie powinien obawiać się braku możliwości pożytecznego zastosowania tych zasobów”. Jeśli Sekretarz Generalny ONZ publikując ten raport uczynił to, jak się wyraził, „z głęboką satysfakcją, którą na pewno podzielił wszystkie rządy”, to niewątpliwie zdawał sobie sprawę, że aby powszechne rozbrojenie mogło się stać rzeczywistością, potrzebne jest powszechne przekonanie, iż ono jest powszechnie opłacalne.

Są to wszystkie czynniki kształtujące potrzebny dla rzeczowych rokowań rozbrojeniowych klimat międzynarodowy. Ale czynnikiem dotykającym bezpośrednio samego przedmiotu tych rokowań są tzw. środki częściowe, albo jak je inni nazywają — kroki częściowe. Nie o nazwę tu zresztą chodzi. Rzecz polega na tym, że w miarę jak narasta przekonanie o konieczności przeprowadzenia powszechnego i całkowitego rozbrojenia, pogłębia się również zrozumienie i rzeczowa analiza tego problemu. A ta prowadzi przede wszystkim do wniosku, że należy już i natychmiast — nie przerywając dyskusji na temat zasadniczy — poczynić kroki, właśnie te częściowe, w celu zapobieżenia postępującemu procesowi zbrojeń. Zwalazca — zbrojeń nuklearnych. Znalazła ta tendencja wyraz np. w rezolucji XVIII sesji ONZ (1963 r.). Rezolucja, wzywając Komitet Rozbrojeniowy 18 państw do podjęcia „z energią, ze zdecydowaniem” negocjacji rozbrojeniowych i zalecając mu pracę nad zbliżeniem stanowisk głównych stron w zasadniczych problemach rozbrojenia, wzywała jednocześnie Komitet do poszukiwania porozumień odnośnie środków „które mogłyby służyć osłabieniu napięcia międzynarodowego, zmniejszeniu możliwości wybuchu wojny i ułatwieniu porozumienia w przedmiocie powszechnego i całkowitego rozbrojenia”. Tą samą kierując się intencją Polska zaprezentowała w lutym br. „plan Gomułki” w sprawie zamrożenia zbrojeń nuklearnych w Europie Środkowej, a więc w regionie, gdzie ze względu na przebiegającą tam linię styku dwóch przeciwstawnych sobie obozów (i ze względu na rewizjonistyczną politykę NRF) sytuacja jest szczególnie zagrożona. „Obecnie, kiedy zdają się zarysowywać na

* W skład tej grupy wchodził — m. in. — członek Akademii Nauk ZSRR, W. I. Abolitin, profesor Nauk Ekonomicznych uniwersytetu w Harvard (USA), W. W. Leontief, dziekan Wydziału Nauk Ekonomicznych uniwersytetu w Leeds (Anglia), Arthur J. Brown oraz profesor Oskar Lange (Polska).

** „Gospodarcze i społeczne skutki rozbrojenia”. Raport Sekretarza Generalnego ONZ, Nowy Jork, 1962.

DO CZEGO SŁUŻY GLINA?

BOLESŁAW BARTOSZEWICZ

FELIKS Krull, przysłówiowy już dziś bohater słynnej książki Tomasza Manna pełnej zjadliwości i niezwykle wprost trafnej obserwacji życia, był zdania, że jego czynny nieprzystojny wcale nieprzystojny nie są. „Jestem — zwykły był mawiać — z innej ulepiłszy gliny. Lepszej.” Utrzymywał zatem, że wolno mu więcej niż innym.

Bohater Mannowski o ujemnej reputacji hochsztaplera surowo osądzony jednak został za swe czyny przez społeczeństwo. Bezlitosne dla urojeńców, obiboków i birbantów. Bezlitosne dla hochsztaplerów.

Przypomniałem ten przykład, gdyż wiąże mi się on z pewnym wyjątkowo niesmacznym zjawiskiem w tzw. działalności masowo-kulturalnej w naszym kraju. O prawdziwych sukcesach tej działalności sprawdzającej się bez trudu w zmianach geografii kulturalnej, w znacznym powiększeniu bazy technicznej i materialnej dla tych prac, wreszcie w przekształceniu się psychiki naszego społeczeństwa, była mowa na tym miejscu. Pisałem w „Kamieniu” mianowicie, że Dwudziestolecie Polski Ludowej pozwoliło nam podsumować niebagatelny dorobek na drodze rozwoju kulturalnego kraju.

I właśnie w cieniu tych prawd, niejako na ich marginesie, mimo to jednak, niestety, w dostatecznej bliskości ludzi i ich spraw, powstało i zaczęło niepokoić zjawisko, które mi się wiąże z określonym kręgiem aktywności Mannowskiego bohatera negatywnego. Oto np. w pewnym wojewódzkim mieście zdarzyła się rzecz następująca: do świetlicy dworcowej, pełnej przypadkowych — jak zwykle w takich sytuacjach bywa — podróźnych wkroczył znany w owym grodzie i przypuszczam, że szanowany kierownik pewnej kulturalnej instytucji. Pokazał kierownikowi świetlicy dokument stwierdzający, że jest prelegentem Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, stanął za centralnie umiejscowionym stolikiem, rozłożył kartki papieru i rozpoczął odczyt. Przedmiot odczytu był interesujący, dotyczył perspektyw roz-

wojowych owego województwa, ujawniał datami i faktami. I wszystko byłoby oczywiście dobrze, gdyby nie to, że zaraz po pierwszych zdaniach uśmiechniętego prelegenta słuchacze zaczęli opuszczać salę. Bynajmniej nie chylkiem, jak to się często dzieje, gdy wykład nie jest zajmujący. Publiczność opuszczała dworcową świetlicę — powiedziałbym — oficjalnie, ostentacyjnie, wydawało mi się, patrząc na zegarki. Rychło uświadomiłem sobie, że owa ostentacja to tylko pozory. Przyszło bowiem i mnie spojrzeć na zegarek i co przedzie, głośniej niż zamierzalem, opuścić zadymione wnętrza. Pociąg już właściwie odchodził.

Sprawa jest prosta. W opisanych warunkach prelegent nie powinien był wygłaszać odczytu. Chyba nie przesadzę określając go jako człowieka co najmniej lekkomyślnego, nie przywiązującego najmniejszego znaczenia do społecznych efektów swej pracy. Potrzebna mu była pieczęćka stwierdzająca, że odczyt został w samej rzeczy wygłoszony. I to wszystko.

Jest to przykład niewątpliwie bolesny. Tym bardziej, że nie jedyny. Pewien członek Związku Literatów, człowiek, który wydał parę książek, wybrał się był do małego miasteczka na modną u nas w Polsce imprezę: wieczór autorski. Czytał, recytował, opowiadał o sobie i swoich predyspozycjach z dumą patrząc na słuchaczki, którymi były uczennice szkoły pedagogicznej. Gdy skończył i zachęcił do pytań, jedna z dziewczynek ośmieliła się: „Przepraszam pana, czy literat musi mieć maturę?”

Nie to jest tu ważne, czy ów S. B. lub jak go tam! ma maturę, czy też może nawet tytuł doktora. Istotne jest co innego: nie umiał na swoim wiek czorze autorskim być skromny i tajemniczy, pełen mądrości i prawdziwego uroku. Zlekceważył audytorium więc ono z kolei zlekceważyło jego.

Zlekceważył również swoje audytorium pewien aktor, który zaproszony do powiatowego miasteczka w połud-

(Dokończenie na str. 14)

bliższą lub dalszą metę możliwości porozumienia w wielu zagadnieniach — powiedział minister Adam Rapacki na konferencji prasowej w dniu 5 marca br., na której zaznajomił dziennikarzy z „planem Gomułki” — jest rzeczą dużej wagi, aby powstrzymać wyścig zbrojeń nuklearnych w Europie Środkowej. Jeśli tego nie uczynimy, sytuacja będzie komplikować się i będzie utrudniała porozumienie. Jeśli to zrobimy — przyczynimy się do postępu wysiłków na drodze pokojowego rozwoju sytuacji w Europie”.

Ta właśnie tendencja do niedopuszczenia, aby sytuacja się komplikowała, zaczyna już, jak się wydaje, stawać się praktyką międzynarodową. Gdy w sierpniu ub. roku, dokładnie 5 sierpnia o godzinie 15 minut 34, ministrowie spraw zagranicznych Związku Radzieckiego, USA i W. Brytanii podpisali w Moskwie układ o zakazie doświadczeń z bronią nuklearną w atmosferze, w przestrzeni kosmicznej i pod wodą, minister Andrzej Gromyko powiedział, że układ ten może otworzyć drogę do rozwiązania innych, jeszcze ważniejszych problemów międzynarodowych, w tym problemu rozbrojenia. O tym, że to tylko początek, mówił również, złożony swój podpis, Douglas Home, wówczas jeszcze nie premier, lecz minister spraw zagranicznych W. Brytanii. Także sekretarz stanu Dean Rusk oświadczył, że krok ten, w zależności od dalszej polityki, „może stać się pierwszym i jedynym, albo też pierwszym z wielu dalszych”.

Już dzisiaj — a minęło dopiero 9 miesięcy — widać, że krok ten, jeśli nie stał się pierwszym „z wielu dalszych”, to na pewno stał się pierwszym z kilku dalszych. Bo po nim doszło do kolejnego porozumienia radziecko-amerykańskiego zakazującego wprowadzania na orbitę w przestrzeni kosmicznej obiektów z bronią nuklearną na pokładzie. I jeszcze po nim, 20 kwietnia br. — jednocześnie decyzje rządów Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych (Wielka Brytania ogłosiła podobną decyzję nazajutrz) w sprawie zmniejszenia produkcji materiałów rozszczepialnych do celów wojskowych.

A więc już nie porozumienie, lecz seria porozumień. Nie epizod polityczny lecz krystalizująca się praktyka postępowania, torująca — poprzez pogłębienie wzajemnego zaufania, poprzez do starczenie doświadczeń rozbrojeniowych — drogę do porozumienia w sprawie podstawowej, tzn. w sprawie powszechnego i całkowitego rozbrojenia. Zresztą (i niech mi tę myśl stać się wybaczą profesjonalni dyplomaci) wcale nie jestem przekonany, że proces urzeczywistnienia idei powszechnego i całkowitego rozbrojenia będzie przebiegał zgodnie z naszym tradycyjnym wyobrażeniem, to znaczy, że wprzódy dojdzie do uroczystego podpisania dokumentu, a potem dopiero przystąpi się do rozbrojenia. To wcale nie musi być tak, jak to wyłożone zostało w cytowanym już przeze mnie raporcie Sekretarza Generalnego ONZ: „Punktem wyjścia ekspertów w ich badaniach... była hipoteza, że gdy rozbrojenie zostanie zaakceptowane — nastąpi szybko i będzie powszechne”. Bo może być i akurat odwrotnie, że najpierw osiągnięte rozbrojenie (doszedłszy do niego krok po kroku), a później dopiero nastąpi usankcjonowanie w formie uroczystego aktu tego już powstałego stanu faktycznego. Ostatecznie — Goethe (a ten był ministrem!), którego związek z Christianą Vulpius trwał od roku 1788, związek ten usankcjonował aktem ślubnym dopiero w roku 1806!

No, ale za wcześniej jeszcze myślałem o tym, jak się dokona w praktyce proces rozbrojeniowy i jak wyglądać będzie — co jest na pewno najmniej istotne — jego formy zewnętrzne. Ważne jest pamiętać — zwłaszcza w okresach powszechnej satysfakcji i radości z powodu uczynienia jakiegoś „kroku częściowego” — że przed nami ciągle jest jeszcze rozbrojeniowy problem główny. Ważne jest, aby po każdym takim kroku domagać się, i to możliwie szybko, kroku następnego. Dotyczy to zarówno meżów stanu, którzy reprezentują (lub reprezentować powinni) wole ludzi zwykłych, jak i samych ludzi zwykłych. Co pisząc mam nadzieję, że kolejnią jakąż z zastosowałem, nie będzie interpretowana jako stopniowanie ich zaniecia.

Znany pisarz Waldemar Babinec, dyrektor Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy, członek Kolegium Redakcyjnego „Kamień”, otrzymał w dn. 5 bm. Nagrodę Centralnej Komisji Koordynacyjnej przy Ministrze Kultury za publicystykę kulturalną.

Na kieleckich drogach

I. Znany jest pietyzm społeczeństwa kieleckiego do zabytków. Bo też i rzadko który region i to nie tylko w naszym kraju może pochwalić się taką ilością pamiątek po ludziach, ideach, rzeczach. Właściwie każdy powiat mógłby na dobrą sprawę na wiele dziesiątek lat poświęcić się wyłącznie ich pielęgnowaniu. Ale zabytkowe budowle, wykopaliska, wsie i miasta, z których wywodzili się i w których tworzyli koryfeuszowie pióra, wielcy politycy, malarze, bohaterowie, działacze — prekursorzy postępowej myśli, bojownicy o wolność — to wprawdzie najpiękniejsza karta naszej historii, ale bynajmniej nie wypełnia wielkiej księgi dzieł. Mamy w naszym regionie i inne tradycje, i inne sprawy, które słusznie zapraszają umysły działaczy odpowiedzialnych za politykę kulturalną regionu.

II. Wolno sądzić, iż na czoło tych spraw wysuwa się zagadnienie ruchu amatorskiego we wszystkich jego formach, poprzez małe, tradycyjne formy teatralne, pełnospektaklowe widowiska, pieśni, tańce, muzykę. Co ciekawe, iż telewizja, radio, film, które przecież docierają coraz szybciej do miast i wsi, bynajmniej nie wyprzedzają, przeciwnie, wydaje się, iż ostatnio ruch ten nabiera rumieńców, ba, przechodzi pewnego rodzaju renesans. Zapotrzebowanie na sztuki teatralne wzrasta z każdym miesiącem, zaś amatorzy-artycy, których gust kształtują środki masowej komunikacji, żądają coraz to lepszych utworów, odznaczających się wysokimi walorami ideowymi i artystycznymi. Niestety, ciągle jest o nie trudno, zawodzą wszelkie bodźce mające na celu zachęcić dramaturgów do pisania utworów dla zespołów ochotniczych. Istniejące utwory nie zaspokajają już dziś wysokich aspiracji terenu. Należy żałować, iż w powodzi wielu konkursów organizowanych przez różne instytucje z okazji XX-lecia nie znalazły się atrakcyjne konkursy na sztuki dla teatrów ochotniczych, oczywiście sztuki najwyższego gatunku.

To samo można powiedzieć o masowej piosenki, o utworach dla kapel ludowych. To nieprawda, że naród nasz nie lubi śpiewać, muzykować. Wręcz przeciwnie. Posłuchajcie, jak ludzie śpiewają w domach, przy stole, przy codziennej krzątaninie chwytliwe piosenki radzieckie, które wpadają do ucha. Nasi twórcy ulegają niekiedy kawiarnianej atmosferze, w której zrodziła się zgola nieuzasadniona sugestia: „Zebys i dwadzieścia lat pracował w pocie Szopna, nie stworzyłeś dzieła godnego Szopna czy Szymanowskiego”. Ale czy wszyscy muszą nimi być? Nie chodzi przecież o pieśń na miarę stulecia. Prawda, że ludowe piosenki kieleckie przetrwały długie lata, są ciągle świeże, piękne, melodyjne. Możemy jednak pokusić się o nowe, godne naszych czasów, wyrażające naszą troskę o zachowanie kultury ludowej.

Uslujemy przecież nie bez rezultatów pomnożyć nasze tradycje, wzbogacić je o nowe, laickie w treści. Praktyka dowodzi, iż podejmowane tu i ówdzie próby, jak chociażby poświęcanie wieczoru wigilijnego pamięci Adama Mickiewicza, są akceptowane przez społeczeństwo, zwłaszcza tam, gdzie tradycje są szczególnie głęboko zakorzenione, to jest na wsi.

III. Mimo ustawicznych utyskiwań twierdzą, na podstawie bogatych materiałów, iż naszym największym sukcesem jest upowszechnienie książki. W poprzednim XX-leciu mieliśmy, a jakże, Akademię Literatury i równocześnie pięć i pół miliona kompletnych alfabetów. Straszliwa wymowa, wstrząsająca dysproporcja. Dziś, podczas liczących wędrowek po wsiach Kielecczyzny, słucham, oszozolomiony, opinii byłych alfabetów i nowego pokolenia

o naszych bestsellerach, bez tchu łowią słowa naszych klasyków, którymi przetrzymują się ludzie w ciężkiej pracy fizycznej, przeglądają książki w domowych bibliotekach u ludzi, którzy przyzwyczaili się je kupować jak cukier, sól i gazetę.

Ale i w tej dziedzinie rozwój intelektu odbiorcy przeszedł nasze oczekiwania. Nie jesteśmy w stanie sprostać zapotrzebowaniom, mimo olbrzymich sum, które wydajemy na utrzymanie bibliotek, czytelników, na fundusz wydawniczy. Jakże często słyszy się dziś westchnienie: „Przeczytałem wszystkie książki w naszej gromadzkiej bibliotece, niektóre po dwa — trzy razy. Kiedy przyjdą nowe?” Tu już nie chodzi o pomieszczenia biblioteczne, choć oczywiście nie jest to sprawa drugorzędna. Chodzi o stałe powiększanie księgozbiorów na głębokim zapleczu. Zespół „Polityki” podjął inicjatywę, sięgnął do starej, wypróbowanej metody. Zbiera książki u czytelników. Kieleckie „Słowo Ludu” mogłoby uczynić to samo. Chlubne zadanie. Niemalże za książki znajdujemy u ludzi na strychach, być może z powodu braku miejsca. Więc oto zawołanie u progów nowego XX-lecia. Śmiem twierdzić, iż dumnie i rozsądnie: świadczy bowiem o wzrastającym popycie nie na lada jaki towar.

IV. W naszych planach, koncepcjach i taktyce kulturalno-oświatowej nie doceniamy bodaj najbardziej istotnego momentu. Oto przeobrażenia dokonujące się na naszych oczach, przeobrażenia, które prowadzą do dojrzałości intelektualnej, a więc i politycznej, do wszechstronnego rozwoju człowieka, w dużej mierze zawdzięczamy środkom masowej komunikacji: radiu, telewizji, filmowi, prasie. Po prostu skłonni jesteśmy najczęściej nazywać te środki masowego przekazu dobrą rozrywką. Ejże! Jak długo? Wyrwykowane badania w naszym województwie wskazują, że upodobania, zainteresowania, poglądy przeciętnego obywatela kształtują się przeważnie przy głośniku, telewizorze, ekranie. Nawet i wtedy, kiedy recepcja audycji nie jest pełna. Wiadomości dziennika są znane odległej wsi w bardzo wczesnych godzinach rannych, chłop dawno przestał ślinić palec, natomiast czeka komunikatów meteorologicznych z taką niecierpliwością, z jaką oczekuje jego syn ostatnich wiadomości sportowych, córka kącika mody, a żona porad kulinarnych.

Gdyby więc plastycy, fotograficy i architekci wewnątrz pamiętali o tej potężnej maszynie wpływającej na kształtowanie naszych sądów, niewątpliwie mieliby taki popyt na swoje obrazy, jaki wciąż jeszcze mają jarmarczni sprzedawcy na swoją tandetę. To samo oczywiście, mutatis mutandis, rzec można o wszystkich innych dziedzinach naszego życia, nie tylko kulturalnego.

Przy okazji należy wyrazić ubolewanie, iż rozgłoszenia kielecka wciąż ma zbyt ograniczony zasięg, że audycje przez nią nadawane docierają do stosunkowo nielicznej rzeszy odbiorców. Podniesienie jej mocy, dalsze usprawnienie to doprawdy czołowe, pilne zadanie na najbliższe lata.

A propos. Nie utyskujmy na audycje. Są doprawdy lepsze, barwniejsze, bogatsze niż w wielu krajach. Zresztą masowy widz i słuchacz potrafi upominać się o swoje prawa, pisze listy, wymaga, wpływa w niemalym stopniu na jakość audycji, filmu, koncertu.

V. A jak jest z twórcami? Wielu odeszło w ciągu tych lat do innych regionów, do Warszawy, do Krakowa, Wrocławia, Prozaicy, poeci, krytycy, plastycy. Trudno. Może nie potrafiliśmy im stworzyć klimatu do pracy twórczej, może ambicje ich przetrwały możliwości regionu. Tym bardziej należy zaopiekować się młodą generacją. Ogłaszane w ostatnich latach konkursy świadczą, iż mamy wśród młodych niemalże talentów. Trzeba wpływać na ich rozwój, troszczyć się o ich warsztat, pamiętając o wrażliwości każdego artysty, ułatwiając mu pokonywanie przynajmniej wstępnych trudności.

Istniejące i normalnie rozwijające się „Ponidzie” jest załążkiem ruchu twórczego, częścią naszej polityki kulturalnej, częścią oczywiście niemalże ważną.

Jak dotychczas „Ponidzie” jest zamkniętą grupą, pracującą na zasadach literackich klubów. W niedalekiej przyszłości należy się liczyć z „odlotem”, innymi słowy z usamodzielnieniem się młodych, którzy tworzą błądą własne warsztaty pracy. Zjawisko naturalne. Przybędzie nam wówczas nowa instytucja: oddział Związku Literatów Polskich, ale „Ponidzie” pozostanie. Będzie wciąż skupiało nowe pokolenie, przekształcać się w Klub przy

LUBELSKIE KSIĄŻKI NA XX-LECIE PRL

ZOFIA WOJCIKOWSKA

Kamień 1964 r. 9 s. 5, 10

DZIS, gdy cała Polska podlicza imponujący dorobek dwudziestu lat władzy ludowej, gdy projektuje się nowe, dalekosiężne i realne plany na przyszłość we wszystkich dziedzinach życia, chwila jest najlepsza ku temu, żeby przypomnieć wydarzenia, które zapoczątkowały tę optymistyczną, dwudziestoletnią epokę. Okazję do wspomnień dało Wydawnictwo Lubelskie, którego nakładem ukazał się ostatnio potężny zbiór relacji i wspomnień działaczy Polskiej Partii Robotniczej, Gwardii Ludowej i Armii Ludowej pt. „Ja, syn ludu polskiego...” — IV tom cyklu „Źródła i materiały do dziejów ruchu oporu na Lubelszczyźnie (1939—1944)”. Książkę opracował, poprzedził wstępem i zaopatrzył przypisami Zbigniew Jerzy Hirs, autor wydanej m. in. w ubiegłym roku publikacji o charakterze popularno-naukowym „Z dziejów PPR, GL i AL w powiecie krańickim (1942—1944)” oraz szeregu artykułów poświęconych tej ważkiej problematyce.

„Tom nie jest oczywiście monografią działalności PPR, GL i AL na Lubelszczyźnie. Złożyły się na niego relacje ludzi, którzy walczyli z okupantem na różnych stanowiskach i odcinkach. Znajdzie się więc tutaj wspomnienia dowódcy i szeregowego partyzanta, łącznika i sanitariuszki. Każdy z nich starał się wykonać powierzony mu zadanie z honorem, każdy wnosił do walki o wyzwolenie Ojczyzny cenny wkład i swój gorący patriotyzm, młodość, a nawet życie. Dlatego też słuszne wydaje się ukazanie w książce jakby przekroju całej zbiorowości partyzanckiej, wytrwałych strategów, mądrych kierowników i żołnierzy”. Cytat ten, wyjęty z przedmowa Pawła Dąbka, byłego dowódcy Okręgu Lubelskiego GL, charakteryzuje publikację trafnie i sprawiedliwie. „Ja, syn ludu polskiego” nie jest monografią, ale bez wątpienia jest pierwszorzędnym źródłem wiedzy dla historyków, którzy podejmą się szczegółowych badań w celu pełnego opracowania tych zagadnień.

Na treść książki złożyły się dwadzieścia pięć relacji (dwie w aneksie), poprzedzonych wziętymi życiorysami autorów oraz zaopatrzonych w przypisy, stanowiące bogate źródło informacji. Materiał ułożony jest starannie i przejrzysto. Po przedmowie Pawła Dąbka i wstępie Zbigniewa Hirsza następują relacje pod wspólnym tytułem — „Kierownictwo II Obwodu”. W części tej m. in. znajdują się dwie wypowiedzi sekretarzy Komitetu Obwodowego PPR: Włodzimierza Dąbrowskiego i Hilarego Chelchowskiego.

Włodzimierz Dąbrowski delegowany został na Lubelszczyznę przez Komitet Centralny w kwietniu 1942 r. w celu nawiązania kontaktów z działaczami Robotniczo-Chłopskiej Organizacji Bojowej i utworzenia pierwszych komórek PPR. Jego relacja to dzieje początków działalności partii na terenie województwa i stopniowego zdobywania przez nią zaufania i wpływu wśród lu-

dzi o radykalnych, lewicowych przekonaniach. Proces ten następował szybko i obejmował coraz szerszy zasięg. Oto co pisze Hilary Chelchowski, który jako członek KC przybył na Lubelszczyznę zimą 1943 r.: „Płonnie walki partyzanckiej ogarniał stopniowo całą Lubelszczyznę [...] Na tym terenie partyzantka już wtedy stanowiła poważną i niebezpieczną dla okupanta siłę [...] Głównym zadaniem, jakie postawiła przed sobą Partia, była walka z Niemcami. Wszystkie nasze siły poświęciłyśmy realizacji tego zadania. A przede wszystkim organizowaliśmy oddziały partyzanckie i garnizony Gwardii Ludowej [...] Rola organizacyjna Partii polegała również na tym, co się określa pojęciem wychowania człowieka. Działalność Partii zmierzała do tego, aby każdy partyzant rozumiał, o co walczy, w imię czego podejmuje ogromny wysiłek walki. Aby orientował się, jaka jest sytuacja w kraju. Aby wiedział, jaka jest sytuacja na froncie. Słowem, aby był człowiekiem świadomym, rozumiejącym społeczno-polityczną treść walki, w której brał udział”.

Słowa te jasno i precyzyjnie wskazują, gdzie tkwiło źródło siły i entuzjazmu do walki z wrogiem, w jakiej atmosferze rodziły się pierwsze konkretne myśli i plany o przyszłej, wyzwolonej Ojczyźnie. Tym samym duchem przeżyte są wypowiedzi pozostałych dowódców: Grzegorza Korczyńskiego, ps. Grzegorz (od czerwca do 20 lipca 1944 komendant Gwardii Ludowej Okręgu Lubelskiego), Mieczysława Moczara, ps. Mietek (od maja 1943 do czerwca 1944 komendant GL Okręgu Lubelskiego), Stanisława Szota, ps. Kot (od września 1943 do lipca 1944 oficer polityczny GL i AL).

O wydarzeniach w Okręgu Północnym (Lubelszczyzna, czyli Obwód II, podzielona była na dwa okręgi: Północny i Południowy; taki sam podział zastosował Zb. Hirs przy układzie tomu) mówi siedmiu uczestników. Wypowiedź Leona Doroszewskiego, ps. Oksyda, to życiorys okupacyjny niejednego partyzanta. Mieszkał w Ostrowie Lubelskim. Jesienią 1940 r. koledzy zawiadomili go o powstaniu w mieście podziemnej organizacji do walki z okupantem. Szybkie podjęcie decyzji, przysięga i odtąd uporczywa, niszcząca szeregi wroga walka o wolność. Przez kilka miesięcy trudno było mówić o obliczu ideowym tej nowo powstałej organizacji, dopiero w roku 1941 organizacja nasza wykrystalizowała swoje oblicze; była to organizacja typowa dla naszego terenu (Ostrów Lubelski i okolice) — Stronictwo Ludowe. W ramach tego Stronictwa młodzież, do której i ja się zaliczałem, wchodziła w skład Batalionów Chłopskich. Niedługo potem pierwsze zetknięcia z siłą i ambitną grupą Gwardii Ludowej (na tych właśnie terenach najwcześniej nawiązała się współpraca między partyzantami BCH i GL), pierwsze wspólne akcje, pierwsze kontakty z partyzantami radzieckimi i wreszcie w marcu 1944 oficjalne przejście licznej grupy młodych i silnych ludzi do AL, aby wzmocnić jej szeregi. Na znak jednolitego frontu w walce z okupantem grupa ta nosiła na rękawach znaki „BCh, AL”.

W tym czasie, kiedy z inicjatywy i pod przewodnictwem PPR na terenie województwa zaczęły organizować się pierwsze oddziały Gwardii Ludowej, w Lublinie powstał Miejski Komitet Partii, a następnie grupy bojowe GL. „Grupa GL (na terenie kolejowym i w mieście) walczyła z hitlerowcami przy pomocy dywersji i działań partyzanckich, organizowała sporządzanie lewych dokumentów, nosiła pomoc wysiedleńcom, więźniom Majdanka, gromadziła broń i amunicję, prowadziła wywiad wojskowy, przemysłowy i administracyjny, utrzymywała łączność radiową z Moskwą” (Józef Radajewski). Dzieje PPR, GL i AL na terenie Lublina to niemal czysta karta w literaturze przedmiotu, dlatego niezwykle cenne są relacje Józefa Radajewskiego i Stanisława Swatka. Ich wartość historyczna równoznaczna jest niemal z wartością dokumentów, a tych ze względu na zakonspirowany charakter działalności zachowało się bardzo niewiele.

Trzecia część książki to jedenaście wspomnień o wydarzeniach w Okręgu Południowym (Janowski). Tu dominują i przedstawiają największą wartość historyczną wypowiedzi na temat po-

Oddziały Kieleckim ZLP. Podobnie może rozwijać się praca wśród młodych plastyków, muzyków, rzeźbiarzy, jeśli organizacje młodzieżowe roztoczą nad nimi opiekę przynajmniej tak życzliwą jak nad „Ponidziem” i jeśli znajdą się mecenasi typu lubelskiej „Kamień”.

Nie wolno zapominać o twórcach ludowych, których w Kielecczyźnie nie ma. Dotychczasowy kontakt z nimi był raczej luźny, sporadyczny. Rokrocznie należy organizować nie tyle zjazdy, co konferencje z udziałem twórców zawodowych, pod opieką poważnych organizacji społecznych i odpowiednich instytucji kulturalnych.

Teatr im. Żeromskiego, orkiestra symfoniczna mogą tu spełnić nie mniejszą rolę, niż Wojewódzki czy Powiatowe Domy Kultury.

W ciągu ubiegłego XX-lecia dokonaliśmy wiele na polu kulturalno-oświatowym. Sukcesy można obliczyć dokładnie w liczbach, które są ważne. Najważniejsze jednak to świadomość, iż wczorajszy bandos czy bezrobotny jest dziś przedmiotem i podmiotem kultury, a jego dziecko wychowane w PRL, wpływa świadomie na kształtowanie naszej polityki kulturalnej.

W. B.

(Dokończenie na str. 10)

ZYCIE narodu nie zaczyna się w chwili obecnej, ani też na dniu dzisiejszym się nie kończy. Jak dąb wielowiekowy sięga swymi korzeniami w odległą przeszłość, konarami zaś w przyszłość. Glebą macierzystą, w którą wrosły głęboko korzenie polskości, jest od lat tysiąca antyk grecko-rzymski. Dal on podstawy wszystkim rodzajom literackim: eposowi, liryce, dramatu; wszystkim dziedzinom sztuki: architekturze, rzeźbie, malarstwu; wszelkiemu myśleniu ścisłemu: filozofii, matematyce; wszelkiej nauce zarówno w zakresie humanistycznym, jak przyrodniczo-geograficznym; położył fundamenty grammatyczne i słowotwórcze pod wszystkie języki europejskie. Jest istotnie bazą genetyczną, albo, jak pięknie powiedział wielki filolog polski Tadeusz Zieliński, jest nasieniem całej kultury europejskiej. Dzięki bazie grecko-rzymskiej Polska znalazła wspólny język z całym światem kulturalnym od zarania swych dziejów. Musimy sobie jasno uprzytomnić, że nie kultury dalekiego Wschodu: Indyj, Chin czy Japonii, lecz właśnie antyk grecko-rzymski miał decydujący wpływ na kierunek rozwojowy naszej kultury rodzimej. Musimy też obiektywnie przyznać, że ten wpływ na literaturę polską okazał się szczególnie płodny. Antyczna Hellada i Rzym stały się niejednokrotnie siłą życiodajną kultur późniejszych, każda epoka ciepła z nich inne wartości i każda odchodziła od tego źródła nasycony ekstraktem świadomego siebie człowieczeństwa. Organem wpływu antyku grecko-rzymskiego na kulturę polską był dotychczas przede wszystkim język łaciński. Od tysiąca lat Polska związana jest organicznie z językiem łacińskim i na nim kształtował się nasz język. Antyk grecko-rzymski żywił nasze średniowiecze, humanizm, barok, oświecenie, romantyzm, pozytywizm, a nawet Młodą Polskę.

Poza wartościami ogólnokulturalnymi ma język łaciński szczególne znaczenie w szkole. Niejednokrotnie już zastanawiano się nad jego walorami kształcącymi. Warto i dziś je rozważyć w świetle rzeczywistości Polskiej Ludowej. Musimy wyjść od założeń generalnych, tj. celów umysłowych, jakie ma realizować tzw. wykształcenie średnie w łańcuchu pełnego wykształcenia inteligenta współczesnego. Gdybyśmy je chcieli uczynić podbudówką pod różne wydziały uniwersyteckie pod względem sumy wiedzy, szkoła podstawowa i średnia pętkłyby pod naporem rozlicznych wiadomości ważnych dla przyszłego inżyniera, fizyka, przyrodnika, filologa, historyka, geografę itd. Co więcej, ta ilość wiedzy, szczególnie w zakresie nauk przyrodniczo-fizycznych, pęcznieje katastrofalnie z dnia na dzień i staje się niemożliwa do wchłonięcia dla umysłu, jeszcze nie przygo-

owanego pod względem swego rozwoju. Celem pierwszym — według mego skromnego zdania — dla wykształcenia średniego, tj. okresu przeduniwersyteckiego, jest także okrzestanie umysłu młodzieńczego, aby stał się on zdolny do samodzielnego myślenia, do konstruowania i ścisłego odróżniania pojęć, a następnie dopiero — aby stał się zdolny do sensownego przyswajania sobie takiej czy innej, większej lub mniejszej sumy wiedzy. Wiedzę bowiem można zapomnieć, wykształcenia się nie traci. Tego rodzaju cel sobie stawiając możemy przygotować młodzież do szybkiego i skutecznego opanowania materiału specjalnego na wyższej uczelni, względnie do bezpośredniego wejścia w życie, o ile nie zechce studiować.

ciami grammatycznymi, ciągle w oparciu o żywy aparat języka. Przez swój wyjątkowy analogizm, minimalną ilość wyjątków, poddanie całego materiału językowego ścisłym regułom grammatycznym język łaciński uczy młody umysł ładu i porządku w rozumowaniu. Uczeń z kilku czy kilkunastu przykładów analogicznych wprowadza regułę ogólną, a potem znowu tę regułę ogólną uczy się stosować do konkretnych wypadków językowych. Nauka języka łacińskiego nie mając dziś celów utylitycznych (tj. aktywnego poznania języka: w słowie i w piśmie, jak to ma na celu nauka języków nowożytnych) wprowadza ucznia w świat pojęć językowych, utrwala w nim te pojęcia i na konkretnym materiale językowym uczy logiki, stając się jednocześnie podstawą dla nauki gra-

lesie wyrazów uczy się szukać podstawowych elementów zdania, uzbudowywać w zasady teoretyczne, pozwalające mu odszukać te elementy podstawowe. Ta praca selekcyjna, o typie syntetycznym, jest wyjątkowo kształcąca dla rozwoju umysłu.

Fragnę jeszcze na chwilę zająć uwagę łaskawego czytelnika spojrzeniem na trudności studiów wyższych w wypadku usunięcia nauki języka łacińskiego z wykształcenia przeduniwersyteckiego. Trudności te można nazwać po prostu przyspieszonym narastaniem chwastu werbalizmu. Zanim student przebrnie przez dwuletni lektorat łaciński (pomijam już trudność uczenia się racyonamentu języka w wieku dojrzałości umysłowej, ale przy słabszej pamięci już się spotka od pierwszeństwa kroku na wyższej uczelni z brzemieniem nomenklatury łacińskiej w poszczególnych dyscyplinach. Brzemienie nie do niesienia wyłączone na barkach ślępij pamięci: w medycynie (anatomia na 1 roku ma same terminy łacińskie), prawo (co mówić o systemie prawa rzymskiego! całe formuły do bezmyślnego wykucia), uniemożliwiony zupełnie dostęp do archiwów na studium historii, historii sztuki, polonistyka (trudność możliwości zrozumienia literatury polsko-łacińskiej okresu renesansu, itd.). Ale tu można się spotkać z kontrargumentem natury praktycznej: sumy wiedzy, jaką musi przyswoić sobie uczeń, jest i tak olbrzymia bez nauki języka łacińskiego. Przypomnę tu artykuł poety Różewicza w jednym z ostatnich numerów „Kultury” gdzie rzetelny poeta ubolewa nad wprowadzeniem do lektur szkolnych języka poezji koszmarnych literatury polskiej i europejskiej. Tu pada słowo klasycyzm, klasycyzm. Myślę, że jest to wyraz bardzo ważny dla wykształcenia średniego. Ma ono dać młodemu umysłowi aparat podstawowy dla orientacji w każdej dyscyplinie, aparat elementarny, aparat klasyczny dla niejże rzeźby strukturalne. Musi więc stać się miejsce w programie szkolnym przedmiotów istotne dla kształcenia choćby strukturalnej postawy umysłu, choć suma wiedzy ogólnej miała być mniejsza. Nie czynimy z uczniów uczących się wielbłądów, obciążonych tysiącami pakunczków ponad wszelką miarę. Uczeń ustawiony należycie do jakiejś strawy umysłowej i przygotowany precyzyjnie do konstruktywnego myślenia upora się na uniwersytecie z każdym materiałem faktycznym, w sposób właściwy go klasyfikując.

Nie wrywajmy korzeni drzewa kultury narodowej z podglebia antycznego, gdyż ma ono właściwości sprzyjające rozwojowi tego drzewa, nie zawsze dostatecznie rozeznane przez młode krochmiele dydaktyczne.

W obronie łaciny

JANINA PLISZCZYŃSKA

Jaki materiał rzeczowy najbardziej kształci konstruktywną postawę umysłu, tj. zdolność do samodzielnego (a więc i twórczego) myślenia i ścisłego odróżniania pojęć? W zakresie tzw. przedmiotów ścisłych — matematyka szczególnie geometria, w zakresie przedmiotów humanistycznych — moim zdaniem — łacina. Zastrzegam się naturalnie przed wszelką wyłączością, podkreślam tylko jaskrawe cechy tych dwu dyscyplin szkolnych. Przez konstruktywną postawę umysłu rozumiem w praktyce zdolność do dwu podstawowych czynności: analizy i syntezy. Pierwszą czynność, tj. analizowanie pojęć, młodzież wykonywała chętniej i łatwiej, druga tj. wyciąganie wniosków ogólnych, nasuwała jej ogromne trudności. Wyłączne oparcie kształcenia konstruktywnej postawy umysłu na przedmiotach tzw. ścisłych, tj. na matematyce i jej pochodnych, grozi poważnie równowadze umysłu i psychiki młodzieży. Żyje ona bowiem przede wszystkim wyobraźnią, a myśl konkretną. Do abstraktu przebijają się umysł młodociany z najwyższym trudem, myślenie symbolami jest dla niego najuciążliwsze. Wśród przedmiotów tzw. humanistycznych najbardziej abstrahującym jest nauka języka łacińskiego. Ona to daje młodocianemu umysłowi możliwość zaspokojenia potrzeby konkretnego w realnym żywiole języka, tj. w obrazach wyrazowych i zespołach anegdotycznych, fabularnych, stanowiących treść poznawanej mowy, z drugiej strony podsuwa pod rozwagę związki logiczne zachodzące pomiędzy poje-

matyki nowożytnych języków, weźmy tu choćby pod uwagę bardzo trudne dla Polaka pojęcie *perfectum* i *plusquamperfectum*, *futurum I* i *exactum*. Nauka języków nowożytnych musi w stopniu znacznie większym wyszkalać wszelkie skojarzenia spontaniczne, uczeń powinien się ośmielać mówić w obcym języku, choćby na razie niegrammatycznie, nawet przekraczając wyrazy. Dopiero stopniowo gramatyka porządkuje jego myślenie językowe. Przy nauce języka łacińskiego ten względnie odpada. Mógłby jeszcze ktoś zrobić zarzut, że wszak gramatyki uczy się młodzież przede wszystkim na lekcjach języka polskiego. Jednakże uczeń nie potrzebuje bezpośrednio kategorii grammatycznych, aby dobrze wyrazić się po polsku, ma większą możliwość prześliczenia się przez kategorie grammatyczne, gdyż mowa rodzima zawsze mu przyjdzie z pomocą i przeniesie go bezpośrednio i podświadomie w bogaty żywioł swej treści wewnętrznej bez świadomego przyswajania kategorii językowych. Gramatyka polska doznaje wyjątkowego dopięcia dzięki nauce języka łacińskiego (szczególnie składni).

Tyle o łacinie jako szkole języków, *schola linguarum*, oraz o walorach kształcących gramatyki łacińskiej. Drugą wartością nauki języka łacińskiego jest samo przekładanie. Idzie mi tu w tej chwili nie o ilość, czy treść materiału językowego przełożoną przez ucznia, lecz o wartość samej funkcji przekładania, tj. świadomego i samodzielnego konstruowania zdania: uczeń w

Życie na papierze nutowym zapisane

BOHDAN KRÓLIKOWSKI

PISAC o muzyce to jakby wyświetlać niemy film. Szkoda, że do numeru pisma nie można (przynajmniej na razie!) dołączyć płyt z nagraniami, bez nich bowiem sylwetka muzyka nie może być oddana z całą wielowymiarowością.

O ileż szczęśliwsi koledzy z radia... O profesorze Aleksandrze Bryku, znanym kompozytorze, zbieraczu muzyki ludowej, historyku muzyki i zasłużonym pedagogu chciałoby się pisać znakami muzycznymi na nutowym papierze, lecz że zamiar to niewykonalny, ograniczymy się do tradycyjnych środków.

Aleksander Bryk urodzeniem, życiem i pracą związany jest mocno z Lubelszczyzną. Urodził się (6.IX.1905 r.) w Zamościu w rodzinie nauczyciela muzyki Stanisława Bryka, wieloletniego organisty i dyrygenta orkiestr szkolnych. Muzyka w rodzinie Bryków była i jest zawodem jak najbardziej „rodzinnym”, bo także brat p. Aleksandra — Tadeusz jest muzykiem, nauczycielem śpiewu i muzyki w Zamościu, a są też widoki na to, że i w młodym pokoleniu tradycja rodzinna nie zaginie.



Aleksander Bryk

Nie więc dziwnego, że już w latach szkolnych prof. Bryk muzyką się interesował. Bezpośrednim, jak mówi, bodźcem do obrania sobie muzyki za przedmiot studiów były występy orkiestry włościańskiej Karola Namysłowskiego.

Po ukończeniu konserwatorium w Warszawie za rektoratu Karola Szymanowskiego studiował Aleksander Bryk w Instytucie Języków Wschodnich w Warszawie. Studia te kontynuował na filologii tureckiej w Stambule, podczas kilkakrotnych pobytów w Turcji. Zwiedził również

Egipt, był w Bułgarii, Rumunii i na Węgrzech, a na krótko przed wojną w Niemczech. W przerwach między wyjazdami za granicę uczył muzyki w gimnazjach w Siedlcach i Łukowie (jednocześnie), zbierał ludowe pieśni podlaskie, no i komponował.

Wybuchła wojna. Przestał istnieć nauczyciel i kompozytor, a za to w 25 pułku piechoty (7 dywizja, armia „Kraków”) pojawił się dziarski porucznik Bryk. Dywizja jednak w pierwszych dniach września została otoczona i po zaciętych walkach rozbita (por. L. Głowacki: „Obrona Warszawy i Modlina na tle kampanii wrześniowej”, Warszawa 1963), porucznik Bryk dostał się do niewoli. „W oflagu — wspomina prof. Bryk — nie podobało mi się, niedługo więc uciekłem. Oczywiście przez całą okupację musiałem się ukrywać, pracowałem w tartaku pod Zamościem (gdzie podpisywałem się krzyżkami udając analfabeta), a następnie jako woźny w Sнопie w Zamościu. Na koniec zacząłem pracować w młeczarni w Jastkowie jako wybitny fachowiec, bo konia od krowy z łatwością odróżniałem”.

Skończyła się wojna i prof. Bryk, po jeszcze jednym oficerskim wcieleniu (tym razem w lotnictwie), wrócił do swojej właściwej pracy.

W czasie dwudziestolecia powojennego prof. Bryk oprócz twórczej pracy muzycznej i pisarskiej zajmował się działalnością pedagogiczną. Obecnie jest dyrektorem Średniej Szkoły Muzycznej Towarzystwa Muzycznego oraz wykłada teorię muzyki w Państwowym Liceum Muzycznym w Lublinie.

Aleksander Bryk jest autorem kilkudziesięciu wydanych utworów muzycznych, w tym kwartety, muzyka

instrumentalna, marsze fanfary (pierwszy z nich napisany podczas pobytu w Turcji na cześć prezydenta Kemala Paszy, Ata-Türka, z wykorzystaniem motywów tureckiego hymnu narodowego). Za marsz ten p. „Zafer marsi”, tj. marsz zwycięstwa otrzymał autor podziękowanie prezydenta). W dorobku A. Bryka są koncerty (np. na róg, ostatnio napisany koncert na tubę i nie wykończony koncert na fagot), a także balet operaty na motywach wschodnich pt. „Lampa Aladyna” (a nadawany często przez radio w całości bądź też w fragmentach).

Plon zbieractwa Profesora zamyka się cyfrą ok. dwu tysięcy pieśni ludowych z terenu Podlasia i Lubelszczyzny, opracowanych, a częściowo wydanych.

Jako historyk i teoretyk muzyki jest prof. Bryk autorem monografii o Karolu Namysłowskim (Wydawnictwo Lubelskie 1961), opartej na materiałach źródłowych, opatrzonej szerszą bibliografią; podręcznika „Instrumentacja na orkiestrę detu gotowego do druku oraz książki „Muzyka polska i obcy działający na terenie Lubelszczyzny w XIX i XX wieku”, która niedługo zostanie ukończona.

Ulubieni kompozytorzy: Czajkowski, Schubert, Beethoven, a z polskich: Karol Szymanowski („Jako student nie rozumiałem go, dopiero dochochodzę do pełnego zrozumienia niektórych jego utworów”) i Moniuszko — twórca typowo polskiej muzyki — Zresztą — wspomina p. Aleksander — Szymanowski często powtarzał, że jeżeli Polak napisze utwór muzyczny, będzie to w każdym wypadku muzyka polska, zawsze bowiem będzie w niej widoczne polskie, swoiste dźwięki i wątki.

REFORMA WYKONYWANIA ZAWODU ADWOKACKIEGO

EMANUEL ISERZON

ulegała wątpliwości. Minister sprawiedliwości Marian Rybicki stwierdził w przededniu wejścia pod obrady Sejmu projektu nowej ustawy o ustroju adwokatury (grudzień 1963), że „zmiany, jakie wprowadziła ustawa o adwokaturze z 1950 r., były dość powierzchowne, a nawet w pewnym stopniu fasadowe” („Adwokatura, kierunki reformy i perspektywy zawodu”, „Polityka” 1963 nr 51-52). Czasopismo „Pałestra”, organ Naczelnej Rady Adwokackiej, w artykule redakcyjnym z okazji wejścia w życie nowej ustawy o ustrojach adwokatury tak scharakteryzowało stan rzeczy poprzedzający nową ustawę: „ogół adwokatów zdawał sobie sprawę z trapiących adwokaturę bolączek, a w szczególności z fasadowości zespołów i sporadycznie występujących wypadków korupcji i wyczerpania ze strony pojedynczych członków oraz z trudności, z jakimi połączona była walka z tymi objawami”. (1964, nr 1).

Jak wspomniano, dyskusja znalazła się na właściwym torze w 1961 r. W samej adwokaturze, w prasie prawniczej i ogólnej podnoszono, że sprawa dojrzała do szeroko zakrojonej reformy samej struktury zespołów. Plenum Naczelnej Rady Adwokackiej stwierdziło w uchwale, że punktem kluczowym reformy jest sam sposób wykonywania zawodu, sposób organizowania pracy w zespołach adwokackich. Projekt opracowany przez Ministerstwo Sprawiedliwości został poddany dyskusji w środowisku prawniczym. Ustawa uchwalona przez Sejm w grudniu 1963 r. dokonuje następujących istotnych zmian w wykonywaniu zawodu adwokackiego.

Adwokat może wykonywać zawód tylko w zespole adwokackim albo w społecznym biurze pomocy prawnej. Społeczne biura pomocy prawnej mogą być tworzone przy radach narodowych, przy związkach zawodowych i przy innych organizacjach społecznych. Społeczne biura jeszcze nie powstały, są one zagadnieniem przyszłości. Ustawa wprowadza rozdział zawodu adwokata i radcy prawnego: radca prawny nie może wykonywać zawodu adwokackiego, ale może pozostać na liście adwokatów. (mowa o radcach prawnych różnych jednostek organizacyjnych państwowych i społecznych). Najistotniejsze postanowienie ustawy w przedmiocie wykonywania zawodu w zespole ma następujące brzmienie: „Kierownik zespołu uwzględnia życzenia klientów co do wyboru adwokata, chyba że obciążenie pracą danego adwokata, uniemożliwia mu podjęcie się prowadzenia sprawy. W tym przypadku kierownik zespołu proponuje klientowi innego adwokata, biorąc pod uwagę specjalizację członków zespołu i zasadę równomiernego rozdziału spraw”. W zależności od tego, jak będą wykonywane ten przepis, zniknie podział na „średniaków”, „rekinów”, „murzynów” i adwokatów prawie bez praktyki — albo też mało co się zmieni w dotychczasowym stanie rzeczy. Sformułowany bowiem warunek upoważniającego kierownika do nieuwzględnienia życzenia klienta co do wyboru adwokata — owo „chyba że obciążenie pracą danego adwokata uniemożliwia mu podjęcie się prowadzenia sprawy” — sam przez się nie uzbraja kierownika w instrument dostatecznie skuteczny dla realizacji słusznej intencji ustawodawcy. Jeżeli pozostawimy ustalenie krytycznego momentu („obciążenie pracą danego adwokata”) swobodnej ocenie kierownika, nie się w dawnym trybie przydzielania spraw nie zmieni: kierownik ze względów koleżeńskich nie zgodzi się na podjęcie kroku niezgodnego z życzeniem adwokata. Taki jest faktyczny układ stosunków, którego nie zmieni potępienie stanowiska kierownika jako „złego rozumianej koleżeńskości”. Mamy pod tym względem doświadczenie kilkunastu lat funkcjonowania starych zespołów, których kierownicy mieli też teoretyczną możliwość pilnowania równomiernego rozdziału pracy między adwokatami. Należy w drodze wydania specjalnego aktu normatywnego wprowadzić przepis umożliwiający kierownikowi zajęcie w tej sprawie obiektywnego stanowiska. Ma możliwość wydania takiego aktu rada adwokacka, do której „należą wszystkie sprawy adwokatury, których ustawa nie zastrzeża innym organom...”. Może ona wydać taką instrukcję dla kierowników ze-

spółów na terenie swojej właściwości. Instrukcja powinna ustalić, jaka ilość prowadzonych spraw decyduje o maksymalnym obciążeniu pracą adwokata.

Drugim podstawowym przepisem w sprawie organizacji pracy w zespołach jest następujące postanowienie rozporządzenia ministra sprawiedliwości z grudnia 1963 r. o zespołach adwokackich: „Członkowie zespołu uczestniczą w podziale dochodu w równych częściach do wysokości ustalonej przez radę adwokacką dla danej izby, nie mniej jednak niż do wysokości 2.000 zł miesięcznie. — Pozostałą nadwyżkę dzieli się między członków zespołu proporcjonalnie do ich osobistego wkładu pracy”. Z tym przepisem wielu adwokatów „wziętych” pogodzić się nie może. Uważają oni za „niesłuszne”, że

(Dokończenie na str. 14)

MIASTECZKO jak z prospektu

JERZY POPOW

MIASTECZKO położone jest nad rzeką. Ma swój zamek, dwa tysiące kilkuset mieszkańców i ambicje zostać perelką turystyczną Bieszczadów. Lesko, bo o nim mowa, już przed laty było miejscowością letniskową dla wielu lwowian. Przyjeżdżali tu chętnie, ponieważ wyżywienie było bardzo tanie, a górskie okolice piękne. Płytki San na zakrętach miał dogodne miejsca do kąpiel, lasy obfitowały w grzyby i jagody.

Wojny światowe zmieniły oblicze miasta. Po pierwszej Lesko się wyludniło. Po drugiej — jeszcze bardziej. Po stałych mieszkańcach pozostały tylko pochylone płyty nagrobków żydowskiego cmentarza. Lesko wyludnił najpierw Niemcy, a potem zahamowali jego rozwój nacjonaliści z band UPA. Strasznie tu było żyć podczas wojny i niebezpiecznie w pierwszych latach po wyzwoleniu. Lesko położone jest w Bieszczadach, gdzie wskazówki zegarów wojny posuwały się nadal przez lata walk toczonej się długo po Dniu Zwycięstwa. Jeszcze w 1947 roku bandy zagrażały miastu.

I potem nagle odkryto Bieszczady. Bezładnie stanowiąc niepowtarzalnie piękną zakątek dzikiej, nie regulowanej ręką człowieka przyrody. Wtedy to do Leska zaczęli napływać turyści. Ci, którzy wracali pieszo ze wschodu, po przejściu Bieszczadów z południa na północ — byli opaleni, zarosnięci i rozszepiani. Tu, w Lesku nad Sanem, plonęły ogniska przed namiotami od maja do września. I cały ten barwny turystyczny lud obowiązkowo obchodził wszystkie sklepy w Lesku zakupując mnóstwo drobniactw i dopytując się „gdzie jest kawiarnia?”.

W Lesku były dwie restauracje. Spółdzielca i prywatna. Były też meliny, w których można było dostać wódkę nocą. Ale o kawiarni nikt nie słyszał. Życzenia gości stawały się jednak dla gospodarzy rozkazem. Zwłaszcza że ruch turystyczny wpływał na powiększenie się budżetu miasta. Toteż w Lesku problemem miejskim obok budowy mieszkań stało się uruchomienie kawiarni. Było to kilka lat temu, kiedy mieszkańcy Leska zaczęli nie tylko przywykać do dziwnych strojów gości, ale przyjmować od nich pewne zwyczaje i ubiory. Ze zwyczajów — chodzenie do kawiarni. Z ubiorów — mocne dzinsy.

W miesiącach letnich kalejdoskop przewijających się przez Lesko twardy i typów, samochodów i autobusów z wycieczkami, był stałą rozrywką dla mieszkańców miasteczka. Kiedy jednak nadchodziła jesień i zima, można tu było się zanudzić. Przedtem jakoś nie zauważano tego, gdy jednak w atmosferę miasteczka turyści wprowadzili zwyczaj życia towarzyskiego, długie wieczory w samotności stały się nie do zniesienia.

Pierwsze zbuntowały się kobiety. Postanowiły zorganizować swoją kawiarenkę. Taką własną, do której nikt by się nie wtrącał i gdzie nie można dostać alkoholu. Bo wszystkie lokale handlowe w mieście, łącznie z nową kawiarnią, zaopatrzone były w wódkę i wino. A w Lesku już tak jest, że tam gdzie jest wódka czy wino, życie towarzyskie zmienia się w końcu w pijanństwo. To się właśnie kobietom nie podobało!

Ale na zorganizowanie własnej kawiarenki potrzebne były pieniądze. Wyliczono, że jeśli kobiety będą sa-

me piekły i dyżurując same sprzedawały ciastka i kawę, to wydatki spowodują się do wyposażenia lokalu w krzesła, stołki, telewizor. Szybko jednak okazało się, że nikt nie chce być dobrym wujkiem i ofiarować kobietom trzydziści — czterdziści tysięcy złotych...

Nie darmo jednak znany jest spryt kobiety. Trafiły w końcu do przewodniczącego Powiatowego Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego, Edwarda Martingera, dysponującego funduszami na walkę z alkoholizmem. Edward Martinger został jedynym wybranym przez mieszkanki Leska na członka Zarządu Komisji Gospodarstwa Domowego Ligi Kobiet i kobiety przekonały go, że ich bezalkoholowa kawiarenka wymaga finansowego poparcia z funduszy na walkę z alkoholizmem.

W końcu te fundusze uzyskały i od pół roku kawiarnia Ligi Kobiet w Lesku świetnie prosperuje. Po południu drzwi się do niej nie zamykają. Zainteresowało to władze finansowe, ale okazało się, że nie ma z czego ściągać podatku. Jedna grupa kobiet rano piecze ciastka, druga wieczorem sprzedaje, a wszystkie pracują społecznie, licząc swoje wyroby bez zysku. Toteż ciastko za dwa złote jest ogromne, a czarna kawa kosztuje tylko trzy złote.

Taniść wyrobów, przede wszystkim zaś miła atmosfera, ściągają do kawiarenki Ligi Kobiet tyłu gości w tym maleńkim miasteczku, że w godzinach kawowego szczytu wielu czeka stojąc, aż się jakiś stolik opróżni. Czeka jednak cierpliwie, bo takich ciastek gdzie indziej nie dostanie. Ale gospodynie trapią się widokiem stojących gości i myślą już, jak swój lokalik powiększyć. Oczywiście, obok działalności „kulinarnej”, prowadzi się działalność kulturalną — odczyty, dyskusje, pokazy.

Tak więc Lesko, miasteczko w Bieszczadach, w którym jesienią i zimą życie jakby zamierało, teraz ożywiło się kulturalnie. Raz utworzona przez kobiety droga do funduszy na walkę z alkoholizmem okazała się dostępną i dla innych instytucji. Przed Społecznym Komitetem Przeciwalkoholowym stanął problem, czy zgodnie z przepisami wydać fundusze wyłącznie na leczenie alkoholików i propagandę, czy też przeznaczyć pieniądze na kupno telewizora i radioli dla Powiatowego Domu Kultury.

Zdania były podzielone. Lekarze byli za leczeniem. Działacze społeczni za wyposażeniem Domu Kultury. „Telewizor i radiola alkoholików nie uleczą” twierdzili lekarze. „To prawda — replikowali działacze społeczni — ale nam nie chodzi tylko o alkoholików. Nam chodzi o młodzież, o wytworzenie nawyków współżycia nie przy kieliszku, tylko przy czarnej kawie, ciastkach”. W końcu przeważała opinia działaczy społecznych. I oto w tych dniach największy z oponentów — lekarzy sam przyszedł do Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego z propozycją zakupienia telewizora do tłumnie odwiedzanej, nowej kawiarenki w Myszkowie — jednej z wsi bieszczadzkich.

Ale w tym roku nie ma już śmiałych wśród działaczy społecznych. Za zakupienie z funduszy na walkę z alkoholizmem wyposażenia do kawiarenki Ligi Kobiet, radioli i telewizora dla Domu Kultury, oraz bilardu i telewizora dla ognisk Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej — było tyle nieprzyjemności ze strony kontroli finansowej, że teraz — jak to się mówi — na zimne się dmucha...

Zmiany jednak, jakie zaszły w Lesku po przeznaczeniu funduszy przeciwalkoholowych na wytworzenie i rozwój nawyków życia towarzyskiego bez alkoholu, są na szczęście nieodwracalne. Oto na przykład bilard. Poprzednio był jeden bilard w prywatnej restauracji. Grali o wino starsi, grała więc młodzież. Dziś konkurencja bilardu w społecznym ośrodku jest udowodniona: klienci, zwłaszcza młodszy, przyszedli do świetlicy Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej. W takiej sytuacji prywatna restauracja okazała się nierentowna.

Albo radiola. Zakupiona została do Domu Kultury i tańczono przy niej jesienią i zimą po południu przy czarnej kawie i ciastkach. A wieczorem przed telewizorem gromadzą się starsi. Rok temu siedzieli w swoich mieszkaniach. Teraz wciągani są w krag życia całego kraju i świata przez ekran telewizora.

A ponieważ „apetyt rośnie w miarę jedzenia”, więc mieszkańcy Leska chcą mieć teraz teatr. Nie stać ich na teatr stały, więc w czynie społecznym dla uczczenia XX-lecia Polskiej Ludowej przystępują do budowy amfiteatru. Jak na Lesko, małe miasteczko w Bieszczadach, to naprawdę wiele.

MIASTO SMAKOWITYCH KONTRASTÓW

JERZY DOSTATNI

PO trzech godzinach wyteżonej pracy autobus już stęka, ale na zakończenie trzema efektownymi zakrętami robi coś w rodzaju prostokątnej pętli, nim zatrzyma się na środku dziurawej ulicy, która w tym powiatowym mieście udaje dworzec autobusowy. Każdy energicznie pokonywany zakręt nie tylko rzuca nas na sąsiadów i sąsiadki, ale i na chwilę ukazuje coś zupełnie innego. Oto najpierw przepiękna cerkiewka z kolorowymi kopułami, niemal natychmiast niknąca w tumanach kurzu czegoś, co się właśnie burzy na następnym rogu. Kilka metrów spokojnej jazdy i oto ładny, nowoczesny fronton domu mieszkalnego, obramowany z dwóch stron dużymi sklepami. Ale oto nowy zakręt i za oknami skaczą małe, drewniane chałupki, zgrzybiałe nie tyle ze starości, ile z powodu konsekwentnie zjadającego je grzyba.

To dopiero początek kontrastów, którymi hojnie częstuje przyjeźdźców Hrubieszów, najbardziej na wschód położone miasto powiatowe Polski. Kilkadziesiąt metrów dalej skręcam do hotelu, który całkiem niedawno oddano do użytku. Ładny, trzypiętrowy budynek, przedłużony niższym pawilonem, gdzie lokują się łazienki i pralnia. Aż trzy usługowe przedsięwzięcia w jednym miejscu, co nie przeszkadza nikomu — z wyjątkiem klientów, bo przez dwa dni z kranów nie można wycisnąć ani jednej kropli wody. Miła pani z recepcji powiada, że to nie nadzwyczajnego, zdarza się to od czasu do czasu innym gościom też. Gdy zaproponowałem, aby dla uczczenia takich dni opracowano drugi, niższy cennik za pokoje, spojrziała przenikliwie w kierunku mojej piątej klepki. Nie odważyłem się więc już powiedzieć, że stan umywalki odstraszyłby największego brudasa.

Gdy nie ma czym umyć rąk, idę do jedynej w mieście kawiarenki, aby przepłukać gardło. Jest właśnie południe i dwie małe salki wielkomiejskim zwyczajem wypełnione po brzegi. Z terroryzującym „przepraszam” lokuje się przy stoliku młodej pary, która przez pięć minut nie zamienia ze sobą słowa. Nawet nie patrzą sobie w oczy. Może i mają rację. Okna bowiem są ściśle zasłonięte, prawie nic nie widać i dziwię się tylko, czemu kelnerka nikogo nie potrąca. Przy stoliku na prawo kiwa się dwóch młodych, bardzo młodych ludzi. Kelnerka stawia przed nimi dwie duże kawy i dopiero teraz odkrywam tajemnicę ich kiwania się, gdy prosi jednego z nich: „Januszk, Januszk, obudź się”. Ale Januszek ma potwornego kaca, zrywa się bez słowa i wychodzi, za nim jego kumpel. Niezapłacone kawy wracają do kuchni. A przy stoliku po lewej stronie jakiegoś chyba małżeństwo zawzięcie sprzecza się na temat właśnie przeczytanych „Interesów pana Juliusza Cezara” Brechta. Podsluchuję nie bez satysfakcji, gdy nagle ktoś trąca mnie w czoło. Jakaś kobiecina z dużym koszem w ręku powiada bez ceregieli: „Panie, niech mi pan poda butelki”. — „Jakie butelki?” Przygląda mi się chwilę, potem nachyla konfidencjonalnie i mruczy do ucha: „Po wodce, stoją tam pewnie pod ścianą”. Rzeczywiście stoją — aż trzy.

Wychodzę na chodnik, który gwałtownie zamienia się w taras wiszący wysoko nad opadającą gwałtownie ulicą. Mocna barierka zapobiega zarówno wypadkom, jak i chęci skręcenia sobie drogi. Aby przejść do rynku i na drugą stronę ulicy — trzeba wrócić i zamiast 4 m przejść ze 150. Powie mi później jeden z przedstawicieli władz, że za rok wybudują tu — pierwszy w Polsce! — wiszący chodnik nad ulicą. Na razie słaba pociecha, zwłaszcza, że pod tarasem ani śladu chodnika, a wyskakujące spoza zakrętu samochody, szczególnie ciężarowe, nie wydają się cenić przechodniów.

Rynek też jest przedziwny. Długi, wąski prostokąt, wybrukowany kociami łbami, obramowany budynkami, z których każdy jest w innym typie, a chyba żaden nie ma nic wspólnego z tym, co zwykliśmy kłaść w pojęcie wyglądu architektonicznego. To oczywiście spadek oddziedziczony po dawnych dziesięcioleciach. Ale już po jednej stronie wyrósł estetyczny — mimo wszystko byłoby zbyt dużą pochwałą napisać: nowoczesny — du-

ży dom, a w nim trzy ładne sklepy. Niestety, przed kilku laty zamiast włączyć się do uporządkowania samego rynku, władze zgodziły się, aby wybudowano na nim długą, drewnianą budę, podzieloną na różne wielkości klatki. Optymiści nazywają to pawilonem handlowym, co jako żywo jest niezasłużoną pochwałą dla tej zawałdźdźki. Dziś myśli się o przeniesieniu tego całego kramu poza śródmieście, ale na razie w samym centrum na straganach, w które rozbudował się „pawilon”, prywatnie przekupki handluja cebulą i nasionami ogórków.

Idę ulicami miasta i co krok rozbijam sobie nos o coraz to nowe kontrasty. Obok drewnianych domków, przypominających raczej wiejskie chałupy, tu i ówdzie grupki nowych budynków, nierzadko dużych bloków mieszkalnych. Wąziutkim chodnikiem jakaś pięknie utleniona blondynka w białym sweterku, wykonanym według najnowszej mody, dźwiga pracownicie wiadro wody. Przecież miasto nie posiada wodociągów i tylko niektóre domy mają lokalne ujęcia wody. Na jednym końcu ulicy plac u fryzjera za gołeniz drożej, niż w najlepszym „salonie fryzjerskim” Lublina, na drugim podziwiam stadko dobrze opasanych świnek, udających się właśnie na poszukiwanie błotka. Jeźdźnie nie wszystkie jeszcze wybrukowane, ale wzdłuż wielu z nich wię-

czorem palą się jarzeniówki. Na dobrą sprawę wśród kilkudziesięciu uliczek tylko 2 lub 3 mają pasma ruchu, odpowiadające szerokością obowiązującym przepisom. Właściwie trzeba by wszędzie wprowadzić jednokierunkowy ruch, ale zapewne wtedy powstałby metlik, na którego wprowadzenie nikt widać nie ma odwagi.

Przewodniczący Powiatowej Komisji Planowania Gospodarczego p. Jerzy Czerkas prowadzi mnie po południu na drugą stronę Huczwy. Właściwie trudno powiedzieć — na drugą stronę. Gdyby bowiem Huczwa była prawdziwą, szeroką rzeką, okazałoby się, że Hrubieszów zbudowany jest na wyspie, a my udajemy się na łód stały. Ale Huczwa jest wąska, a jej odnogi ledwie się sączą brudną wodą. Wszystko zaś razem to jeden wielki ściek, do którego z całego miasta spływają nigdzie nie oczyszczone nieczystości.

Most na „ścieko-rzecz” — ten środkowy — jest ładny i solidny. Ale po prawej stronie to właściwie tylko wąska kładka, w dodatku bez poręczy, chwytająca się nawet wtedy, gdy maszerują po nim gęsi, które czasem wstydzą się pływać w potwornie brudnej Huczwie. Ten po lewej zaś jest już przegrzyziony czasem i zamknięty dla ruchu, bo więcej w nim dziur niż desek. Hrubieszowianie nawet żalują, że go nie zniszła do szczytu ostatnia powódź. Byłby powód do otrzymania dotacji na budowę nowego. Tuż za mostem krótka uliczka rozbiega się w dwa kierunki. Jeden drogowszak pokazuje „Zamość”, drugi — „Granica państwa”. To ostatnie brzmi już niecodziennie, chociaż do Buga jest jeszcze parę ładnych kilometrów. Wkrótce powinien na przybyć trzeci,

(Dokończenie na str. 15)

BURACZANE ZAGŁĘBIE

POWIADAJĄ o hrubieszowskim powiecie: buraczane zagłębie Polski. I nie ma w tym żadnej przesady, nie ma drugiego powiatu w Polsce, który by dawał tak dużą ilość słodkiego surowca. Jedna czwarta tego, co daje całe nasze województwo, plony z hektara też stosunkowo wysokie. Nic dziwnego — zarówno ludzie, jak przede wszystkim natura zawzięta się, aby właśnie tutaj stworzyć burakom cukrowym niemal idealne warunki uprawy.

Jak to się jednak dzieje, że słynne hrubieszowskie czarnoziemy w innych rodzajach upraw zawodzi? Wystarczy zajrzeć do wojewódzkiego rocznika statystycznego, aby stwierdzić, że przeciętna zbiorów innych roślin nie zawsze przekracza przeciętną wojewódzką. Z tym niepokojącym pytaniem zwracam się do I sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR w Hrubieszowie Antoniego Marca. Odpowiedź nie pada natychmiast. Sekretarz drapie się za uchem, z roztargnieniem dwukrotnie częściej mnie papierosami, wreszcie rozkłada ręce:

— No cóż, trzeba powiedzieć prawdę. Jestem tu dopiero od kilku miesięcy. To siódmy powiat, w którym pracuję, ale tak zaniedbanej i zarazem skomplikowanej sytuacji nie ma chyba w całym województwie. Wojna oznaczała dla naszego powiatu stratę niemal połowy ludności. Taki potężny upust krwi nie może przejść bez poważnych konsekwencji dla organizmu. Potem kilka lat walki z bandami UPA, WIN i NSZ. Kilkanaście tysięcy gospodarstw chłopskich zostało kompletnie zniszczonych. Doszło przecież nawet do tego, że sam Hrubieszów przez kilka godzin był opuszczony przez bandy.

— Gdy wojsko zaprowadziło porządek, sytuacja zaczęła się chyba klarować? — Niezupełnie. Ustąpiły napady, to prawda, ale zaczęły się nowe kłopoty. Pokażna część ludności wyjechała na zachód, a zjawili się repatrianci z ZSRR. Zmiana właściciela to jakby mała powódź. Zwłaszcza, że przybycie — mimo istnienia odpowiednich aktów prawnych, nie czuli się tu zadomowieni. Nikt nie ujawniał tego głośno, ale przecież utrzymywała się wciąż atmosfera tymczasowości, czekania na jakieś zmiany. Nikt zresztą nie potrafił określić, jakie to miały być zmiany, jeżeli oczywiście nie traktować poważnie ówczesnych plotek o możliwości wybuchu

trzeciej wojny światowej. Takie to były skomplikowane czasy.

— Chyba nie sprzyjała unormowaniu sytuacji nasza ówczesna polityka rolna?

— Niestety, nie. Dziś zdajemy sobie sprawę z ówczesnych błędów, ale wtedy wielu ludzi było głęboko przekonanych, że robimy najlepiej jak można. Na miejscu dawnych majątków obszarowych powstawały państwowe gospodarstwa rolne, w których jednak brakowało ludzi do pracy, nie było budynków gospodarczych. Tworzenie na siłę spółdzielni produkcyjnych wywotywało u wielu ludzi naturalną reakcję: przeczekania. A więc znów atmosfera tymczasowości. A słabo uprawiana ziemia — ot tyle, aby pozwoliła przetrzymać — jałowiała, zarastała chwastami. Wielu ludzi z założonymi rękami czekało, aż państwo ofiaruje im w pełni zorganizowane spółdzielnie, z luksusowymi domami mieszkalnymi, maszynami i inwentarzem, rądem i owocującym sadem. A niby kto to miał zrobić, jeżeli nawet nie będziemy pytali o środki?

— Od ośmiu lat sytuacja jednak zmienia się poważnie.

— Nawet radykalnie. Nowa, właściwa polityka rolna poderwała ludzi. Nie pamiętam wcześniejszych cyfr, ale dla przykładu kilka zesłorocznych. Chłopi otrzymali 135 mln zł różnych kredytów. W tym 103 mln zł krótkoterminowych, a więc takich, które dają szybkie efekty. W r. 1962 wydano 1.600 zezwoleń na budowę, 570 budynków ukończono, a jeszcze 1.300 było w budowie. To chyba najlepiej mówi o poczuciu stabilizacji, która stała się powszechna.

— A jednak wasze plony...

— Są już lepsze, niż były, ale wciąż dalekie od tego, jakie być mogą. Ale po prawdzie to jest tak: mimo wszystko łatwiej zbudować nową fabrykę, niż przywrócić ziemi pełną wartość. Wbrew pozorom rolnictwo wymaga bardzo poważnych inwestycji. A my jesteśmy dopiero na początku tej drogi.

— W Lublinie mówią, że władze wojewódzkie i tak przydzielają wam więcej materiałów budowlanych i nawozów sztucznych, niż innym powiatom.

— W cyfrach bezwzględnych może to teraz tak wyglądać. Ale trzeba wziąć pod uwagę kilkanaście lat zaległości. A do ich odrobienia daleko. Moim zdaniem, w naszych wsiach trzeba wybudować jeszcze co najmniej 10 tysięcy budynków mieszkalnych i gospodarczych, a 8 tysięcy wyremontować. Mamy w powiecie około tysiąca obór bez dachów. Brak belek, dachówek, eternitu. Niektórzy chłopci jeżdżą po to aż w rzeszowskie, wykupując tamtejsze przydziały, ale to kropla w morzu. Krowy często trzymają się w szalaszach, krytych słomą. Stąd mała wydajność mleka i mało obornika, bo zamiast 5-6 krów w oborze, chłop trzyma 1-2 w otwym szalasz. A nawet nasz czarnoziem po-

Co powiedzieli

KIEROWNIK WYDZIAŁU KULTURY PREZYDIUM PRN: Poza kinem nie mamy w Hrubieszowie żadnego obiektu kulturalnego. Niby jest coś takiego, co nazywa się szumnie Domem Kultury Dzieci i Młodzieży, ale to drewniana chałupina na kurzej stopce. Dwa pokoiki i jedna mała salka. Dokumentacja na prawdziwy dom kultury smaży się w Lublinie już pięć lat. Chcemy tu odkupić rąk prywatnych zabytkowy pałac, ale na to trzeba 900 tys. zł. Podobno ma dać konserwator wojewódzki, jednak to nie pewnego. Zresztą mieszczące się już w tym pałacyku ognisko muzyczne musiałoby oddać część swego lokalu na biuro pewnej instytucji. W powiecie mamy jeszcze 12 ognisk muzycznych. Prawie połowa szkół ma już telewizory. „Ruch” założył cztery wiejskie kluby, ale przydałoby się znacznie więcej. Prawie wszystkie PGR mają świetlice, chociaż z pracą ich różnie bywa. W każdej chcemy uruchomić punkt biblioteczny.

PRACOWNIK INSPEKTORATU SZKOLNEGO: Przed wojną powiat, większy od obecnego, miał 98 szkół podstawowych. Wojna zniszczyła 29 budynków. Teraz mamy 150 szkół, z tego 130 we własnych siedzibach. W tej chwili buduje się 4 szkoły za pieniądze państwowe, a 9 w czynie społecznym. Co roku przepada dużo pieniędzy, bo nie ma kto budować.

WOZNY PREZYDIUM POWIATOWEJ RADY NARODOWEJ: Jestem z zamłownia pszczelarzem i dlatego od 40 lat prowadzę sobie zapiski pogody. Tak na własny użytek. Ale czy to dobrze, że mamy po wojnie już działające przewodniczące?

NAUCZYCIELKA: Dlaczego sławne limity obowiązują również nauczycieli, którzy zaocznie chcą uzupełniać

winien, niezależnie od nawożenia mineralnego, dostawać obornik co 3 lata. Tymczasem bywa, że wystarczą co za ledwie raz na 20 lat. Stąd niskie plony zbóż. Nawozów sztucznych dostajemy ostatnio coraz więcej, ale wciąż mało. Buraki cukrowe, pszenica i ołpiste — nasze podstawowe uprawy — wymagają dużej ilości nawozów. Bez nich nawet czarnoziem strajkuje, o czym nie zawsze chcą pamiętać w Lublinie.

— Przed Powiatową Radę Narodową przejechało wczoraj 16 traktorów do rejestracji, dzisiaj chyba jeszcze więcej.

— Przedwczoraj było jeszcze 150 motocykli. Zarówno kółka rolnicze, jak i poszczególne ludzie, mają coraz więcej pieniędzy. To wynik lepszej gospodarki. Po wielu kłopotach mechanizacja podbija wreszcie naszą wieś. Tę jeden ze spodziewanych efektów oddziaływania PGR i spółdzielni produkcyjnych. Od roku, zgodnie z zaleceniem władz wojewódzkich, przeprowadzamy koncentrację maszyn rolniczych w określonych rejonach. Ale myślę, że u nas powożenie stosowaną metodą trzeba zmienić. Obszarem koncentracji powinien być cały powiat. To się opłaca. A równocześnie jeszcze jeden kontrast do waszej listy. Mamy ok. 25 tys. koni. Na czterech ludzi przypada jeden koń. Nie jest trudno obliczyć, że zjadają one pokaźną część naszej produkcji rolnej. Ale ta sytuacja zaczyna się zmieniać dopiero po wybudowaniu większej ilości twardych dróg. Postawimy jedną z najzdłuższych w kraju szos dróg. A równocześnie nasza ziemia w czasie roztopów to błoto, przez które nie może przejechać często żadna maszyna. Nierzadko chłop na pole jedzie konno, trzymając na własnych plecach plug. Często w zimie sanki stają się jedynym środkiem komunikacji. W ciągu 6 najbliższych lat chcemy i musimy wybudować 170 km twardych dróg. Chłopi to rozumieją i rocznie dają na ten cel 7 mln zł w gotówce. Dotychczas wpłacali dobrowolnie po 1 zł od każdego kwintala buraków cukrowych. Coraz częściej słyszę, że chcą także od innych płodów. Czy ten ich samorządny czyn społeczny nie jest najlepszym dowodem zmian, jakie już nastąpiły i jakie jeszcze przyjdą?

SUPRASKA SZKOŁA

ZYGMUNT CIESIELSKI

PRZED licznymi rzeszami młodzieży kończącej w tym roku szkoły staje stary i rokrocznie aktualny problem: co robić dalej?

W zależności od rodzaju kończącej szkoły różne istnieją możliwości rozwiązania powyższego problemu. Licea ogólnokształcące kończy młodzież szukająca się na ogół na wyższe uczelnie, większość absolwentów szkół zawodowych idzie wprost do pracy, jak natomiast przedstawia się sprawa z absolwentami np. takiego Liceum Technik Plastycznych? Jakże istnieją możliwości pracy dla absolwentów liceum, jakie jest przygotowanie zawodowe, które oni w trakcie pięcioletniej nauki wynoszą?

Oto niektóre pytania, jakie nasuwają się w związku z supraszką szkołą.

Liceum Technik Plastycznych w Supraślu mieści się w pięknym stylowym pałacu Buchholców, do którego przylegają zabudowania starej, mieszczącej obecnie pracownię szkolne, Koniuszki, a nieopodal, już w niezwykłym budynku, mieści się stolówka i część warsztatów szkolnych. Liczebnie szkoła jest niezbyt wielka, uczy się tu bowiem 130 uczniów, z czego 90 mieszka w szkolnym internacie, pozostali natomiast dojeżdżają z Białegostoku lub mieszkają prywatnie na stacjach. Personel pedagogiczny szkoły składa się z 22 profesorów, w tej liczbie są ci, którzy prowadzą naukę przedmiotów zawodowych, jak i ci od przedmiotów ogólnokształcących. Oto zarys organizacyjny.

Spróbujmy teraz odpowiedzieć na postawione powyżej pytania. Najlepiej chyba naświetli sprawę przygotowania zawodowego absolwentów program nauczania. Jak więc wygląda nauka w Liceum Technik Plastycznych?

Liceum daje w zasadzie przygotowanie ogólnokształcące i program nauczania nie odbiega zasadniczo od programu normalnego liceum ogólnokształcącego, dodatkowo jednak prowadzone są tu zajęcia plastyczne dające przygotowanie zawodowe. Te dodatkowe zajęcia plastyczne powodują większe obciążenie uczniów pracą. Stosunek godzin zajęć dziennych w liceum ogólnokształcącym i Liceum Technik Plastycznych ma się jak 5 do 8, przy czym nauka w tym ostatnim trwa o rok dłużej. Przedmioty zawodowe to wie-

dza o sztuce, kompozycja i literatura, rysunek i kolorystyka, rzeźba, rysunek techniczny oraz główny przedmiot zawodowy — tkactwo.

Kogo w takim razie ma przygotować supraska szkoła?

Wypada tu chyba zacytować założenia Liceum: Szkoła ma przygotować do studiów wyższych lub do pracy zawodowej w specjalizacji tkackiej.

Praca w specjalizacji tkackiej jest pojęciem szerokim. Tkaninę można projektować, można wreszcie wykonywać ją siedząc przy warsztacie. Do których to prac przygotowuje szkoła?

Najtrafniejszą odpowiedź daje analiza zatrudnienia absolwentów. Po odbyciu trzymiesięcznego kursu w zakładzie pracy absolwent szkoły zostaje majstrem i pracuje przy produkcji w fabryce włókienniczej. Może też zostać desejnaterem, to jest tym, który tłumaczy projekt plastyczny tkaniny wykonany przez plastyka-projektanta na język techniczny. Opracowuje po prostu projekt realizacji propozycji plastycznej sensu stricto.

Szkoła uczy pracy przy warsztacie tkackim, przy czym uczeń poznaje szereg technik i splotów od najprostszych do bardziej skomplikowanych łącznie z techniką dwuosnowową oraz z techniką wykonywania gobelinów i dywanów wiązanych. Oczywiście uczeń poznaje cały cykl obróbki włókna i cały cykl pracy od przygotowania projektu i surowca aż do wykonania tkaniny. Szkoła też zaznajamia uczniów z technikami wykonywania tkanin artystycznych i dekoracyjnych. Dodajmy, że uczniowie znają wyłącznie pracę przy warsztatach ręcznych, z krosnami mechanicznymi mają możliwość zetknięcia się jedynie w czasie dwumiesięcznych praktyk wakacyjnych w zakładach przemysłowych.

Czy tego rodzaju nauka przygotowuje faktycznie dobrze do pracy zawodowej w zakładzie produkcyjnym, czy praca przy ręcznym warsztacie wystarcza do opanowania techniki nowoczesnej produkcji tkackiej? Widok hal fabrycznych z nowoczesnymi krosnami musi budzić w tym względzie nieco wątpliwości. Wprawdzie dyrektor Liceum pan Józef Wojtulewski twierdzi, że absolwenci Liceum zatrudnieni w przemyśle cieszą się bardzo dobrą opinią. Ich dość rozległa wiedza o plastyce pozwala im być dobrymi majstrami. *Note bene* majstrem zostaje też człowiek bez specjalnej szkoły posiadający praktykę zawodową i kurs majsterski. Warto by zastanowić się, czy istnieją jakieś różnice w pracy majstra z wykształceniem plastycznym i bez niego. Mam na myśli jakość i wydajność produkcji.

Dodajmy jeszcze, że jest w Białymstoku Technikum Włókiennicze i Zasadnicza Szkoła Włókiennicza, czy więc istnieje potrzeba szkolenia tkaczy-plastyków po to, aby zatrudnić ich na stanowisku majstrów?

Praca na stanowisku desejnatora chyba nie powinna budzić zastrzeżeń. Biorąc jednak pod uwagę preparato-

wanie absolwentów do pracy ręcznej i ciekawe próby artystyczne, warto byłoby chyba pomyśleć o znalezieniu bardziej właściwego sposobu wyzyskania nabytych w szkole umiejętności absolwentów.

Istniejąca już od przeszło 80 lat szkoła koronkarstwa i tkactwa w Zakopanem (obecnie szkoła Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy) przygotowuje np. do konkretnej pracy w zakładach spółdzielczych. Wynik pracy uczniów w szkole — wspaniałe tkaniny artystyczne są sprzedawane i to przeważnie za granicę. Może trzeba by pomyśleć o związaniu Liceum Technik Plastycznych w Supraślu z konkretną dziedziną wytwórczości lub z konkretną gałęzią przemysłu włókienniczego?

Za dwa miesiące 16 absolwentów opuści szkołę i rozpocznie własne życie, własną drogę, na której skończy się opieka troskliwych supraszkich pedagogów. Abiturienti mają już zapewne skonkretyzowane plany na najbliższą przyszłość? Owszem. Większość, bo aż 14 wybiera się na studia wyższe i to przeważnie na kierunku tkacki do Łodzi lub Krakowa. Tylko dwie uczennice, które nie mają odpowiednich warunków materialnych, wybierają się do pracy w przemyśle (na razie jest to jeszcze sformułowanie bardzo ogólne).

A więc studia! Właśnie. Krąży dośrych powszechna pogłoska, że droga absolwenta Liceum o kierunku plastycznym na studia plastyczne nie jest łatwa. Profesorowie wyższych uczelni ponoć bronią się przed ich zdaniem, zmanierowanymi adeptami szkół plastycznych, woląc nie nie umiających zdolnych absolwentów liceów ogólnokształcących. Może to i prawda. Lecz jeśli tak jest, to jest to sytuacja paradoksalna. Wynikałoby z niej, że średnia szkoła plastyczna daje w pewnym stopniu za dużo, jak w wypadku majstra w przemyśle, albo też za mało, jeśli weźmie się pod uwagę studia.

Po tych nieco pesymistycznych rozważaniach na temat zawodu i przygotowania zawodowego w Liceum, warto zmienić temat na bardziej optymistyczny. Łatwo o to, jeśli pozna się wewnętrzne życie szkoły. Atmosfera w pracy bardzo miła i to jest chyba zasługa młodego ambitnego zespołu pedagogów. Większość z nich jest znana społeczeństwu białostockiemu z licznych wystaw indywidualnych i z udziału w wystawach okręgowych. Dla przypomnienia wymienię nazwiska: Maria Jarosławska-Zabska, Zofia Zuchowicz, Teresa Bejnarowicz-Kowiazo, Emilia Bartoszek, Bronisław Wojniak (o jego wystawie w rodzinnym Zamościu dojosła niedawno „Kamena”) i Mikołaj Wolkowicki.

Poziom nauczania zarówno w przedmiotach zawodowych, jak i ogólnokształcących wysoki.

Ponadto szkoła jest żywym ośrodkiem życia kulturalnego, włącza się w nurt spraw cichego miasteczka, w którym jest zlokalizowana, współpracuje z biblioteką w zakresie upowszechnienia plastyki i sztuki w ogóle, organizuje imprezy i przyznia się do lokalnych imprez takich, jak akademie, pochody, uroczystości, wystawy plastyczne. Młodzież Liceum zrzeszona w szeregu ZMS włącza się w akcję upowszechniania plastyki na wsi i już zorganizowała kilka wystaw prac uczniów na wsi, m. in. w Wiejskim Domu Kultury w Kozificach i w świetlicy w Pogorzalkach.

Uczniowie szkoły pracują w licznych kołach zainteresowań literackich, motoryzacyjnych, plastycznych (a jakże!) itd. Organizuje się tu również otwarte wieczory przy kawie, w których uczestniczą także suprascy chuligani zmieniający na ten wieczór skórę na spłoszonych intelektualistów.

Szkoła stara się nadrobić przez własną aktywność braki wynikłe z niekorzystnego położenia. Szkole artystycznej potrzebne są stałe kontakty z muzeum, teatrem, wystawami (nawet sklepowymi) środowiskiem twórczym. Trudno to wszystko mieć w Supraślu. Wprawdzie dwadzieścia minut jazdy do Białegostoku to nie jest wielka odległość, ale przecież ucznia kosztuje ta przyjemność 10 zł. Suma ta czasem jest zbyt wielka jak na uczniowską kieszeń.

Liceum Technik Plastycznych to już spora historia. Razem z Polską Ludową będzie obchodziło swoje dwudziestolecie. To dwudziestolecie przyniosło już spore rezultaty. 200 absolwentów, a wśród nich obecna profesorka Liceum Teresa Bejnarowicz-Kowiazo, znani w Białymstoku plastycy: Jerzy Łabanowski, Celina i Sławomir Chudzikowie, Jerzy Zinkow.

Dwudziestolecie szkoły będzie obchodzone bardzo uroczysto. Szkoła otrzyma sztandar. Należy życzyć jej, jak najlepszych osiągnąć w pracy pod tym nowym sztandarem.

Co do wyżej wspomnianych niedopracowań w skonkretyzowaniu zawodu absolwenta szkoły, warto się nad nimi zastanowić i poczynić odpowiednie, normujące tę sprawę kroki.

lub podnosić swoje kwalifikacje? Nasze kuratorium przyznało nam 84 miejsca, a zgłosiło się 179 osób. Wiele z nas znalazło wolne miejsca dopiero w Krakowie, Rzeszowie czy Warszawie.

PREZES TOWARZYSTWA REGIONALNEGO RZESZOWSKIEGO: Mam prawie 400 członków, ostatnio jednak gorzej z wplacaniem składek. W dniach 8—14 czerwca urządzamy „Tydzień Hrubieszowszczyzny”. Po raz pierwszy. Przed rokiem nie udało się, nawalili naukowcy lubelscy. Mam maleńki lokalik na biuro, ale nie na muzeum, do którego zbieramy eksponaty. Chcemy dogadać się z lubelskimi plastykami, aby zainteresowali się naszym pięknym krajobrazem, naszymi zabytkami, naszą bogatą sztuką ludową. Niechby zobaczyli także, a może pomogli wystawić w Lublinie, rzeźby ludowe Gajewskiego i Chudziaka, wyroby garncarskie Kozioła czy Ufnala. Pisarz marynistyczny Stanisław Marian Saliński podjął naszą propozycję i ma napisać powieść o komandorze Bogusławie Krawczyku z Dubienki, który w czasie wojny był dowódcą słynnego kontrtorpedowca „Wilka”.

WŁASCIELKA PRYWATNEGO SKLEPU: Mój zlocutki, niech mi pan pomoże zatłwić w kwaterunku sprawę mojego sklepiku. Chcę mnie przenieść z głównego placu na jakąś boczna ulicę. Umre z głodu, a spółdzielnia bez tego lokalu i tak będzie żyła...

DYREKTOR INSPEKTORATU PGR W DOLHOBYCZOWIE: Do trzeciej części gospodarstw nie ma drogi bitej. W czasie zimy jedno było 60 dni odcięte od świata. Aby podnieść produkcję, musimy dużo inwestować. Jednak zarząd wojewódzki rozprasza się, daje i tu, i tam, i tam. Bijemy się o koncentrację, ale bez większego skutku. Mam w inspektoracie maszyn wartości 42 mln zł, ale ani jednego garażu. Byłoby nawet trochę pieniędzy, ale nikt nie chce budować, bo wygodniej w mieście. Co się dzieje z absolwentami Wyższej Szkoły Rolniczej w Lublinie? Mam tylko jednego z tej uczelni. PGR Wiśniów przysłałby co roku 5—6 studentów na staż, ale od dwóch lat nie możemy dostać żadnego. W innych się trafiają, ale wielu z nich traktuje rolnictwo jak urząd. Chcieliby pracę skończyć o 15, a to się nie da.

(d)

Mała encyklopedia Hrubieszowszczyzny

POWIERZCHNIA 1,721 km kw. — drugi największy po Białej Podlaskiej powiat w województwie. Ludność 103 tys., nadwyżka kobiet prawie 2,5 tys. Jedynie miasto Hrubieszów — 14 tys. ludności.

Stosunkowo najwięcej w województwie użytków rolnych, stosunkowo najmniej lasów. Przyrost naturalny znacznie wyższy od przeciętnej. Gospodarstwa indywidualne zajmują 108 tys. ha, Państwowe Gospodarstwa Rolne 9,5 tys. ha, spółdzielnie produkcyjne 4,2 tys. ha.

Roczna wartość produkcji przemysłowej 490 mln zł. W roku ub. oddano tu do użytku pierwszą wybudowaną po wojnie w kraju cukrownię (w Werbkowicach), supernowoczesny obiekt. W tym roku zaczyna się budowa wielkiej rozszarni lnu.

Przed wojną 1 ośrodek zdrowia, teraz 7 ośrodków, 3 spółdzielnie i 9 punktów felczerskich.

Kościuszkę walczył nie tyle pod Dubienką, ile na polach wsi Uhańki. 22 lipca ukończona zostanie odbudowa pamiątkowego kopca. W lipcu 1944 r. Uhańki były pierwszą polską wsią wyzwoloną przez wojska polskie. W 20 rocznicę zostanie tam położony kamień węgielny pod budowę szkoły.

Jest w powiecie 206 kółek rolniczych, które obejmują dosłownie wszystkie miejscowości. Kółka mają 270 zestawów traktorowych i wiele innych maszyn o łącznej wartości 52 mln zł. W roku ub. kółka dały 11,4 mln zł zysku.

W kilku miejscowościach odkryto pozostałości z okresów kultury pucharów lejkowatych, amfor kulistych i luzyckiej. Kilkanaście grodzisk i wałów obronnych pochodzi z okresu formowania się państwa polskiego.



Nowy szpital powiatowy w Hrubieszowie

O Dni Oświaty, Książki i Prasy, obchodzonych w 1963 roku dzieł nas zaledwie rok, ale okres ten w historii Wydawnictwa Lubelskiego ma szczególne znaczenie. Zamknął on bowiem siedmioletnią działalność naszego ośrodka wydawniczego i rozpoczął ósmy rok jego pracy.

Rzecz jasna, nie od razu można było stosować wysokie kryteria oceny poszczególnych dzieł, stawiać odpowiednie wymagania autorom, jak również samemu redaktorom. Młoda placówka oparła się na młodych pracownikach, studentach, absolwentach UMCS (jeśli chodzi o redaktorów). Nie też dziwnego, że młodość musiała znaleźć miejsce w Wydawnictwie we wszystkich sytuacjach i odmianach. Najistotniejsze było chyba to, że w zdecydowanej większości autorami książek lubelskich okazali się młodzi poeci, prozaicy i naukowcy. Wielu z nich zadebiutowało właśnie w Lublinie, są nawet i tacy, którzy zdążyli opublikować w Wydawnictwie Lubelskim kilka pozycji.

Dotychczasowe osiągnięcia WL najbardziej obrazują cyfry: 162.850 egz. nakładu, ponad 1000 arkuszy wydawniczych, ponad 11.000.000 złotych wartości katalogowej książek. Warto w tym miejscu odnotować jeszcze jeden fakt: niewątpliwie najwybitniejszy poeta Ziemi Lubelskiej, Józef Czechowicz, doczekał się już 6 publikacji o łącznym nakładzie 207.500 egz., zaś jeszcze w roku bieżącym ukazały się 2 następne jego pozycje i wówczas ogólny nakład osiągnie cyfrę około 300.000 egz. Jeśli chodzi o wydawnictwa seryjne, prym wiodzie „Lubelska Biblioteka Poetycka”, mająca już na swym koncie 21 tomików, następnie „Biblioteka Społeczno-Polityczna” — 14, seria „Tysiąclecie Państwa Polskiego — Lubliniana” — 9, „Lubelska Biblioteka Ludowa” — 7, „Kalendarz Lubelski” — 7 oraz „Rocznik Lubelski” — 5.

Ale ilość to przecież nie wszystko i tu pora stwierdzić, że tzw. „okres przedszkolny” dla WL oznaczał równocześnie stałe wyraźne podnoszenie kryteriów oceny ideowo-artystycznych wartości dzieł. Siedem lat pozwoliło WL zgromadzić wokół siebie dość poważny zespół ludzi współpracujących z instytucją i to nie tylko autorów, ale również plastyków czy recenzentów. Wypracowane zostały podstawy do stworzenia perspektywicznych planów wydawniczych na najbliższe lata. Bezpowrotnie minął okres pracy na gorąco, „na wczoraj”. Dzisiaj przygotowuje się już i zsyła do Lubelskiej Drukarni Prasowej maszynopisy książek, które ukadają się w roku 1965. Podpisuje się jednocześnie umowy na rok 1966 czy

ŚWIĘTO książki lubelskiej

ROMAN ROSIAK

Kamień 1964 nr 8 s. 10

1967. I to jest chyba zjawisko, które musi cieszyć, ta stabilizacja i pewne ukształtowanie profilu lubelskiej placówki wydawniczej.

Wydawnictwo Lubelskie powołało do życia szereg serii, które gwarantują w miarę systematyczne ukazywanie się pozycji o określonym charakterze. Jeśli chodzi o historię — niewątpliwie podstawowym cyklem są „Źródła i materiały do dzieł ruchu oporu na Lubelszczyźnie”. Rok bieżący przyniósł już czwarty tom — relacje b. działaczy PPR, GL i AL pt. „Ja, syn ludu polskiego...”, w produkcji znajduje się tom piąty — „Kalendarium walk BCH na Lubelszczyźnie”, w przygotowaniu zaś tom szósty i siódmy, mianowicie: „Wspomnienia partyzantów BCH oraz Lubelska prasa konspiracyjna. Druga seria publikacji historycznych nosi tytuł „Biblioteka Społeczno-Polityczna”. Rok bieżący przyniesie piętnasty już tomik w postaci książki St. Krzykały pt. „Front młodego pokolenia”. Trzeci cykl ukazuje się pod nazwą „Tysiąclecie Państwa Polskiego — Lubliniana”. W roku 1964 ukazały się w jego ramach dwie publikacje: „Pulawy” oraz „Z przeszłości powiatu kraśnickiego”. Dział historii zamyka „Rocznik Lubelski”, którego piąty tom wyszedł przed kilkoma dniami.

Osobne miejsce trzeba przyznać pamiętnikom z lat wojny i okupacji. W styczniu br. ukazał się pamiętnik więźnia Majdanka — Feliksa Siejwy pt. „Wieżeniec III pola”, w produkcji znajduje się pamiętnik „Przeziórki” — E. Gronczewskiego oraz S. Gogolowskiej „Szkoła okrucieństwa”, natomiast w przygotowaniu „Odrutowane miasteczko” J. Kowalskiego, „Moja droga do Mauthausen” J. Willnera oraz pamiętnik z Majdanka J. Kwiatkowskiego.

Problematyka obozowa znajdzie swoje pełne odbicie w powołanych do życia w ostatnim okresie „Zeszytach Majdanka”, których pierwszy tom ukazał się jeszcze w roku bieżącym.

Z publikacji historycznych, które nie mieszczą się w wymienionych seriach, należy wyróżnić z planu na rok 1964 i 1965 następujące: „Z dziejów Lublina”, „Ruch ludowy na Lubelszczyźnie”, „Pamiętniki powstańców z roku 1863

na Lubelszczyźnie”, „Listy spod gilotyny” — A. Omilianowicza, dwie publikacje poświęcone kampanii wrześniowej 1939 r. na Ziemi Lubelskiej — L. Głowackiego i A. Sikorskiego oraz jedną z najcenniejszych publikacji — „PKWN — zarys organizacji władzy” — pióra K. Kersten.

Jeśli chodzi o inne dziedziny nauki — w ramach serii pt. „Prace z historii literatury i języka” ukazały się do końca br. dwie książki: „Lublin w życiu i twórczości pisarzy polskich” — A. Grychowickiego oraz studium o języku Leśmiana St. Papierkowskiego. „Logopedia” — wydawnictwo seryjne poświęcone kulturze żywego słowa — otrzymało już piąty tom, w przygotowaniu zaś znajduje się tom szósty, do którego dołączona zostanie obszerna bibliografia logopedyczna. Ponadto w roku bieżącym ukazały się: „Pradzieje miasta Rzeszowa” — K. Moskwy oraz „Higiena wsi lubelskiej”, natomiast w roku 1965 „Studia nad załogami wybranych przedsiębiorstw Lubelszczyzny” — T. Kościńskiego oraz „Rejonizacja upraw na terenie Lubelszczyzny” — B. Styka.

Niewątpliwym novum stanie się „Przędak Lubelski” (pierwszy tom w produkcji) — wydawnictwo seryjne poświęcone kulturze, nauce i oświacie naszego regionu.

W zakresie literatury pięknej rok 1964 przyniesie kilka interesujących powieści: po wznowieniu „Wiatru za progami” M. Warneńskiej ukazały się jeszcze trzy pozycje biograficzne: G. Pauszer-Klonowskiej — „W cieniu należycielskich drzew” (o B. Prusie), D. Bieńkowskiej — „Żywoć szczęśliwy Sebastiana Klonowicza” oraz K. Jabłońskiej — „Płomień na wietrze” (o F. Morzyckiej). Rok 1964 doda do nich „Młodość Kraszewskiego” — M. Warneńskiej, powieści dla młodzieży R. Liśkowskiego „Spotkamy się na pokładzie”, W. Babinia „Ludzie to powiedzieli”, tom opowiadań J. Ozgi-Michalskiego „Wieczory na Łysej Górze” oraz reportaże L. Gnoty „Boczne drogi” i R. Karasia „Widok z bramy optymizmu”. Pozycją zasługującą na wyróżnienie będzie kolejny tom utworów J. Czechowicza, na który złożył się jego proza oraz dramaty.

Nie zabraknie — rzecz jasna — i poezji. Będą to kolejne tomiki „Lubel-

skiej Biblioteki Poetyckiej” i „Lubelskiej Biblioteki Ludowej”, jak również „Poezja o mieście Lublinie” J. Czechowicza, „Pamiętnik poetycki” (wiersze z Sachsenhausen) A. Kulisiewicza (1964) oraz „Antologia dwudziestolecia międzywojennego” (1965). Jak zwykle w wysokich nakładach ukazały się także pozycje dla dzieci J. Czechowicza: „Kołysanki” (1964) oraz „Zimowe uroki” (1965).

Sztukę reprezentować będą jeszcze w bieżącym roku dwa albumy: „Majdanek” i „Ziemia Białostocka przypomina”.

Nie jest to oczywiście pełny rejestr tytułów, które ukazały się w roku 1964 i 1965, wydaje się jednak, że daje on pewne wyobrażenie o kierunkach działania WL i zapowiada niewątpliwie szereg interesujących książek. Bo jedno nie ulega wątpliwości: nie ma chyba lepszego ambasadora naszego regionu niż książka, a cyfry mówią, że stale wzrasta sprzedaż książek WL we wszystkich województwach. Jest to widoczny znak podnoszenia się ich poziomu ideowo-artystycznego oraz szaty graficznej. Jest to także dowód zapotrzebowania na nie i zainteresowania dla problematyki naszego regionu. I te właśnie fakty w dniu święta książki najbardziej nas mogą cieszyć.

LUBELSKIE KSIĄŻKI NA XX-LECIE PRL

(Dokończenie ze str. 5)

wstawania pierwszych komórek Partii i jej rozwoju na Lubelszczyźnie. Dla przykładu: wspomnienia Stanisława Bieńki ps. Szela, działacza PPR, który na co dzień kontaktował się z założycielami Partii na Lubelszczyźnie — Aleksandrem Szymańskim, Michałem Wójtowiczem, Stanisławem Szotem, to źródło wiedzy o organizowaniu się komórek partyjnych w terenie; o rozwoju PPR w gminie Kamień, pow. pulawski (dzis opolski) mówi Jan Kruszewski; o roli i znaczeniu Partii w powiecie kraśnickim opowiada Waclaw Czyżewski; działalność PPR w powiecie chełmskim charakteryzuje Jan Tarajka.

Równoległe z rozwojem organizacyjnym i pracą polityczno-propagandową Polska Partia Robotnicza realizowała wysunięte przez Komitet Centralny hasło zbrojnej walki z okupantem. Lubelszczyzna stała się w stosunkowo krótkim czasie ośrodkiem poważnych walk, potyczek, a nawet bitew. Wystarczy wspomnieć o słynnej bitwie pod Rąbłowem (Okręg Północny), której uczestnikiem był Henryk Gruszczyk, lub o boju pod Szklarnią i na Wzgórzu Porytowym (Okręg Południowy), o czym sugestywnie opowiada dowódca oddziału partyzanckiego Edward Gronczewski, znany powszechnie pod pseudonimem „Przeziórka”.

Wartość dokumentalna poszczególnych wspomnień jest różna, w sumie tworzą jednak barwny, bogaty obraz walczącej z wrogiem Lubelszczyzny, mówią o tym, w jakich warunkach i za jaką cenę przyszło narodowe i społeczne wyzwolenie Polski*.

Zofia Wójcikowska

* „Ja, syn ludu polskiego...”. Relacje i wspomnienia działaczy PPR, GL i AL. Lubelszczyzna 1942—1944. Wstęp i opracowanie Zbigniew Jerzy Hlrsz. Przedmowa Paweł Dąbek. Wydawnictwo Lubelskie 1964, s. 460, zł 50.—

ZBIGNIEW WALDEMAR
OKOŃ

Wiatrak

nad horyzontem ostrym krzykiem wiatrak wciąż miele gwiazdą noc zawrotnym oszalałym migiem wiruje w ciszy echem głębi

przewala się przez wiatrak ziemia horyzont zapada w noc głąb wierzba zakuta w srebrne lśnienia wparła się cieniem w zieleń łąk

wyduła wiatrak skrzydłem skrzydła z śmiechem opada na nie wiatr i wleci właśnie jak straszdyka przyszły wspomnienia z tamtych lat

OKRES dzielący kielecką organizację ZMS od IV Zjazdu Partii i XX-lecia PRL — to okres bardzo pracowity. Włączając się w szeroki nurt inicjatyw i zobowiązań podejmowanych przez społeczeństwo wszystkie organizacje ZMS podejmują wszelkie cele wzbogacenia i ożywienia całokształtu swej działalności, jak również podejmują i realizują zadania, które są szczególnym wkładem ZMS dla uczczenia XX-lecia. Treść tych poczynań wynika z analizy najpilniejszych potrzeb gospodarczych, społecznych i kulturalnych poszczególnych środowisk. Przeszło trzydziestolatkowa kielecka organizacja ZMS IV Zjazd Partii i XX-lecie wita powszechnym czynem produkcyjnym i społecznym. Obejmuje on zwiększenie udziału młodzieży w zadaniach produkcyjnych naszych przedsiębiorstw i zakładów pracy. Dla przykładu można podać inicjatywy młodzieży z Zakładów Metalowych — Skarżysko, Huty im. Nowotki — Ostrowiec, Zakładów Metalowych im. Waltera — Radom, kieleckiej „Iskry”, KZWM, Armatur, czy starachowickiej FSC. Inicjatywy te zmięrzają do doskonalenia organizacji pracy, rozwoju współzawodnictwa, obniżenia kosztów produkcji, pogłębienia wiedzy i kwalifikacji młodzieży. Młodzież ZM — Skarżysko zamyka swoje czynne kwoty 1,5 mln zł. Inne wymienione tu zakłady zamykają swoje czynne nie mniejszymi kwotami. Jest wiele inicjatyw naszych ZMS-owców, których nie sposób wycenić w złotychkach, a mających bardzo ważne znaczenie. Do takich inicjatyw należy praca z kadrą inżyniersko-techniczną ZM — Skarżysko, Walter — Radom, FSC — Starachowice, podejmowanie czynu młodzieży do dyskusji nad wskaźnikami planu techniczno-ekonomicznego i inne. Ponadto szeroki rozwój współzawodnictwa pracy.

142 BPS przysąpiły do walki o odznakę XX-lecia PRL. Setki brygad przystąpiło do walki o tytuł BPS.

Poza czynem produkcyjnym szeroko rozwija się w Kielecczyźnie czyn

młodzieży na rzecz swoich środowisk. Obejmuje on różnorodną pracę przy pracy zieleńcach, parkach, szkołach, budowie dróg itp. Wartość tego czynu młodzieży wynosi 6 mln złotych.

Okres XX-lecia to również wzmocniona praca ideowo-wychowawcza. We wszystkich podstawowych ogniwach Związku toczy się szeroka dyskusja nad tematami na IV Zjazd Partii. We wszystkich powiatach odbyły się spot-

Nasz udział

STANISŁAW GLEŃ

kania aktywność młodzieżowego z aktywnym partyjnym na temat też zjazdowych, odbywają się sesje popularne młodzieży konfrontujące dwa XX-lecia, WSA podjęły szeroką dyskusję nad tematami zjazdowymi. W okresie tych dyskusji organizacja nasza przekazuje na uroczystych spotkaniach nasz najlepszy aktyw do partii.

W klubach ZMS, świetlicach organizowane są spotkania z ludźmi XX-lecia. Cała praca ukierunkowana jest pod kątem zbliżenia do młodzieży do robku i perspektyw rozwojowych Polski Ludowej. Zakończona niedawno V Ogólnopolska Olimpiada Lig Quizowych potwierdziła na naszym terenie szerokie włączenie się młodzieży do dyskusji. Udział w olimpiadzie przeszło 50 tys. kieleckiej młodzieży, wysoki poziom eliminacji i dobre przygotowanie młodzieży mówi samo za siebie.

Daje się również zaobserwować ożywienie i wzbogacenie naszej działalności kulturalnej. Organizowane konkursy „Młode talenty na złot” skupiają szerokie rzesze młodzieży. Na

turniej poetycki wpłynęło 208 prac młodych poetów, do turnieju muzyki i piosenki zgłoszono 60 zespołów muzycznych i 150 piosenkarzy. Odbywające się eliminacje rejonowe wykazują wysoki poziom naszych zespołów i piosenkarzy.

Szeroki jest udział naszej młodzieży w II Ogólnopolskim Turnieju Czytelniczym. Dni Oświaty Książki i Prasy będą ciekawym okresem. Kluby ZMS podejmują organizację szeregu spotkań autorskich, jak również prace nad upowszechnieniem książki. Ciekawie zapowiada się uzgodniona już współpraca z Wydawnictwem „Iskry” polegająca na szerokim propagowaniu książek w naszych klubach. Również decyzja wydawnictwa Iskry i KW ZMS o organizacji w Kielcach imprezy pod hasłem „Pisarze Iskier w Kielcach” zapowiada się niezwykle ciekawie. Przytoczone tu przykłady mają na celu zbliżenie do młodzieży twórcy i książki.

Rozwija się i wzbogaca masowy ruch sportowy wśród młodzieży. Przewodzenie akcji otwartych boisk, szkolne igrzyska sportowe, spartakiady oraz przygotowywana „Akcja letnia” mają na celu rozszerzenie masowego ruchu sportowego młodzieży. Rok bieżący jest również rokiem Złotu Młodzieży Polskiej. Kieleckie zgrupowanie złotowe będzie obejmowało 450 delegatów, najlepszych naszych aktywistów. Na uwagę zasługują tu fakt, że młodzież wypracowała już wszystkie fundusze na Złot. Organizowana akcja obozowa obejmie trzykrotnie większą ilość młodzieży w porównaniu z rokiem ubiegłym. Wszystkie nasze obozy podejmować będą w swych programach problematykę XX-lecia.

Podane tu przykłady nie dają odzwierciedlenia całokształtu działalności ZMS w Kielecczyźnie. Trudno bowiem w kilku zdaniach objąć szeroki wachlarz pracy naszej organizacji. Będzie to jednak okres bogaty i ożywczy, a udział kieleckich ZMS-owców w całokształcie na pewno duży.

Głosuję za teatrem ludowym

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

ILEKROĆ wracam do „Makbeta” z dala od rampy, czytając go w skupieniu domowym, zdumiewa mnie zawsze mistrzostwo, z jakim Szekspir eksponuje tu łączność zbrodni i kary — główną sprawę tego dzieła. Oczywiście nie można mówić o „Makbecie” pomijając sprawę ambicji, nie w tym jednak jest sedno rzeczy, że Szekspir finezyjnie ukazał narastanie pasji prowadzącej do tragicznych wydarzeń. Wystarczy wziąć za przykład najbardziej popularne jego tragedie, by przekonać się, że z nie mniejszą finezyją analizuje obsesyjną myśl o wiarołomstwie w „Otelu”, czy psychologiczną potrzebę wymiaru sprawiedliwości w „Hamlecie”. Ale żadna tragedia Szekspira nie ukazała z taką dobitnością jak „Makbet” ścisłego związku pomiędzy zbrodnią i karą dokonującą się wewnątrz człowieka, który zbrodnię zamyślił i popełnił. Po Szekspirze równie mocno uwydatnił ten związek chyba tylko Dostojewski. Dostojewski nawet podkreślił dydaktyczny sens swego utworu tytułem. Nie przystało to szekspirowskim tragediom, lecz jeśli widzę dojrzy w „Makbecie” przestrogi, jaką jest spustoszenie psychiczne — następstwo zbrodni, to znaczę, że zobaczył inną sztukę, namiastkę szekspirowskiej.

Absolutnie nie wiemy na wstępie tragedii, czy ambicja jest wybujałą namiętnością Makbeta. Wieści z pola bitwy charakteryzują go tylko jako walecznego, wiernego królowi wodza. Iskra rozpalająca ambicję pada z zewnątrz. Fakt, iż Makbet nie przewidywał przepowiedzianego przez wiedzmy stracenia tana Kawdor, świadczy o tym, że Szekspir potraktował swoje czarownice jako czynnik zewnętrznego w stosunku do Makbeta, a w takim razie wróżba staje się w pewnej mierze okolicznością łagodzącą sąd o nim. W zakresie tych rozważań obojętną jest rzecz, czy wprowadzając czarownice schlebiał poeta zamilowanemu czarnoksiężskiemu współczesnego mu króla Jakuba I Stuarta. Skłonna jestem raczej myśleć, że mógł posłużyć się czarownicami jako metaforą podszeptów nasuwających pożądanie. I psychiczną potrzebę usunięcia przeszkody, która dzieli od obiektu pasji. W danym wypadku od władzy. Zważywszy, iż szekspirowskie czarownice nie są bynajmniej eryniami karzącymi Makbeta za zbrodnię, bo jego kara odbywa się w planie psychicznym poza ich zamierzeniem. Nie są też beznamiętnymi boginiami losu. One pełnią funkcję podżegacza do zbrodni. Ludzą Makbeta pochlebstwami, wróżbami dwuznacznymi, jak by to robił ktoś w dokonaniu zbrodni osobiście zainteresowany.

Szekspir, który rozumiał wszystko co ludzkie, umiał wiele przebaczać człowiekowi uwikłanemu w sieci własnych namiętności i warunków im sprzyjających. Makbet ponosi karę psychiczną niemal na początku sztuki, placąc rozterką duchową za zamiar zbrodni, a za jej dokonanie płaci udęką świadomości, że przypada mu teraz nieuchronnie w udziale szereg dalszych morderstw. Ale sama

ta kara psychiczna jest jednocześnie w jakimś stopniu rehabilitacją człowieczeństwa Makbeta.

Tok tego rozumowania wymaga, byśmy na chwilę zapomnieli o Makbecie-uzurpatorze, wielokrotnym mordercy, postaci narzuconej naszej wyobraźni przez geniusz Szekspira. Otóż według informacji szekpirologów, kroniki bliższe panowaniu Makbeta (połowa XI wieku) oceniają jego rządzący pozytywnie, jako czasy sławy i dobrobytu. Historia przechowała wiadomość, że po śmierci Dunkana (nieletniego młodzika, a nie czcigodnego starca, jak u Szekspira) Makbet zdobył tron, który się prawnie temu i jego żonie należał, ponieważ w Szkocji tron dziedziczył się w linii bocznej przechodząc na najbliższego z krewnych zmarłego króla, braci lub kuzynów. Z tego punktu widzenia właśnie Dunkana był uzurpatorem, gdyż jego dziad wymordował wszystkich swoich krewnych w linii bocznej, żeby zapewnić tron wnukowi — wyjaśnia Grzegorz Sinko. Szczegóły charakteryzujące Makbeta jako krwawego tyra na początku przekaże do kronik znacznie później, może w związku z ustaleniem się zasady primogenitury, tj. przechodzenia tronu z ojca na pierworodnego syna (zgodnie z którą Malkolm III w przeciwieństwie do Makbeta staje się władcą prawowitym). Dość, że w XVI wieku, w kronice Holinsheda, tym głównym źródle dramatów historycznych Szekspira, znalazły się już w wielkim zagęszczeniu rysy zbrodnicze, które obciążają szekpirowskiego bohatera i Lady Makbet. Powstaje pytanie: dlaczego Szekspir przyjął bezkrytycznie ponury wątek kroniki Holinsheda? Może istotnie wpłynęły na to rozgrywki dynastyczne i potrzeba dogodzenia wspomnianemu wyżej nowemu królowi Anglii, Jakubowi I, który pochodził z dynastii szkockiej. Ale przede wszystkim chyba stało się tak dlatego, że był w tym wątku Holinshedowym kapitalny materiał, tragiczny. To było tworzywo godne wielkiego obrazu zbrodni i kary związanej z pasją władzy, jako genezą zbrodniczych czynów. Kto wie zresztą, czy Szekspir nie znał jednak historycznej prawdy o Makbecie i czy nie chciał przeto za pomocą jego cierpienia psychicznego wzbudzić mimo wszystko w widzu współczucia dla jego postaci. A może po prostu odczuwamy litość dlatego, że Szekspir był w ogóle wielkim humanistą.

Istnieje dzisiaj silna pokusa traktowania „Makbeta” jako dramatu politycznego. Przy takim założeniu zachodzi mowa o „mechanizmie władzy”. Oczywiście szczytowej. Zapomina się wtedy, że zgodnie z kon-

wencją swoich czasów Szekspir musiał ukazywać grę namiętności tragicznych — na szczeblu najwyższym. Kiedy natomiast założymy, że żądza tronu jest tylko punktem wyjścia konfliktu tragicznego, że naczelnym tematem „Makbeta” jest sprawa nieuchronnej kary psychicznej za zamyśloną i dokonaną zbrodnię, wówczas tragedia szekpirowska uzyska swój totalny, ogólnoludzki zasięg. Bo, rzecz prosta, na wszystkich szczeblach tak zwanej drabiny społecznej ludzie unoszeni namiętnościami popadają w groźne konflikty, tylko proporcje obiektów pożądania są różne. I na wszystkich szczeblach są zbrodnie dokonywane, a jeszcze niezmiernie więcej jest zbrodni-zaklęć w ukrytych myślach.

Tyle mego skromnego indywidualnego komentarza do tekstu „Makbeta”. Chodzi jednak tutaj przede wszystkim o teatr, o przedstawienie, konkretnie — o przedstawienie w lubelskim Teatrze Osterwy.

Ktokolwiek widział ten spektakl, zorientował się bez trudu, że zamierzeniem jego reżysera i scenografa, Jerzego Uklei, było stworzyć monumentalne, frapujące widowisko na użytek najszerszego kręgu widzów. Widowisko, w którym się wykorzystuje wszelkie możliwości techniczne dzisiejszej sceny, dające ogromną szansę opisu inscenizatorowi i wszystkim pracownikom teatru, z zaopatrzeniem włączając, bo trzeba przede wszystkim dla tak gigantycznego przedsięwzięcia cały ogrom tworzywa materialowego. Ukleja osiągnął swój cel: widowisko wyszło potężne i sprawne na schwał. I godne zaciętych dyskusji. Toteż potoczyły się wartko i toczą nadal, widzowie podzieliłi się na dwa obozy: zachwyconych i wybrzydzących się. Spór wynika z pytania: Szekspir to czy nie Szekspir?

Osobiście twierdzą, że Szekspir i postaram się mój pogląd uzasadnić.

Najpierw od strony widowiska. A więc oczywiście zgoda: Szekspirowi się nie śniły takie cuda techniki teatralnej, jak eteryczne korowody widm spowitych w tiulowe mgły, wykonujących arcywziewne ewolucje dokola uspiętego Makbeta, i nie mógł Szekspir wymarzyć dwudziestowiecznego efektu udźwiękowania elektronowego, potęgującego niezwykłość i grozę sytuacji. Ale skądinąd Szekspir grał dla ludu i pragnął mieć tłumy na swym teatrze. Ergo ludowe widowisko Uklei to Szekspir, Szekspir przybliżony do dzisiejszego masowego widza. Takiego „Makbeta” można wystawić w plenerze: na rynku w Zamostcu, gdzie wiele już lat temu wystawiał nasz teatr „Poskromienie złoŹnicy”, albo w parku puławskim, czy w innych miastach i miasteczkach Lubelszczyzny. I w takim razie należy się Jerzemu Uklei duże brawo za wycucie aktualnej potrzeby społecznej w dziedzinie teatru.

A od strony aktora, od strony sposobu, w jaki aktor wykorzystał powierzony mu tekst, czy ten widowiskowy „Makbet” Teatru Osterwy jest „Makbetem” szekpirowskim?

I tak i nie, jak to bywa w każdym teatrze — zależnie od dyspozycji poszczególnych artystów.

W centrum uwagi jest, rzecz jasna, Stanisław Mikulski w roli tytułowej. Czy nie skrzywdził Szekspira ukazując tylko zewnętrzny kształt postaci? Wiadomo, łatwo stonkowo zagrać ambicję i zbrodnię, to potrafi nawet tak zwany aktor bez wnętrza, ale zagrać szekpirowską zbrodnię-i-karę oto dopiero wielka sztuka. Mikulski wyszedł z próby sił zwycięsko. W jego interpretacji zabrzmiała pełna gama przeżyć. Nieśmiała początkowo chęć zdobycia tronu, skrupuły lojalnego wasala, obok kielkującej myśli o usunięciu przeszkody w osobie króla Dunkana, wahania, niechętna najpierw uległość wobec namowy żony, makabryczna decyzja powzięta pod wpływem fałszywej męskiej ambicji, potem przerażenie ohydą krwawej zbrodni, obawa przed jej konsekwencjami, potworna świadomość konieczności dalszych morderstw, zmora, na którą składają się wyrzuty sumienia i strach, bliskość szaleństwa, wreszcie w obliczu katastrofalnej sytuacji nagły przełom: cyniczna ocena rzeczywistości, jednak

zadufanie w swej szczęśliwej gwiazdzie, w końcu postanowienie obrony niesłusznie zajętej pozycji i dzielna postawa wobec śmierci — to wszystko trzeba było pokazać w postaci Makbeta. Byłam na kilku przedstawieniach i z przyjemnością śledziłam, jak pogłębiał Mikulski z każdym dniem swoją rolę. Cokolwiek jeszcze by się w niej znalazło do wycienienia — jest tylko sprawą niedługiego czasu.

Całkowicie już sprawą dalszych lat życia jest dla Teresy Mikołajczyk stworzenie szekpirowskiej postaci Lady Makbet. Na razie, utalentowana, bardzo młoda aktorka gra Lady Makbet z kroniki Holinsheda, gdzie zostało powiedziane: „Zwłaszcza zaś żona jego — Makbeta — dokuczała mu srodze, by na czyn ten — zabójstwo Dunkana — odważył się, bo w wyniosłości swej ponaęła nieugaszoną chęcią noszenia imienia królowej”. To prawda, że Lady Makbet utwierdza męża w zamiarze zabicia Dunkana, podniecając jego męską ambicję, to prawda również, że własnoręcznie usuwa ślady morderstwa, ale to jeszcze nie cała prawda o Lady Makbet. W czasach, które wypieścili idealny obraz kobiety, postać Lady szczególnie przerażała widza, mogła frapować samym „demonizmem”. Dziś demonizm nie wystarczy, ta ambitna rola wymaga bardzo precyzyjnego warsztatu aktorskiego. Niewiele dni temu byłam na „Makbecie” w Teatrze Polskim w Warszawie. Znakomicie odtworzyła Nina Andrycz w scenie uczy troskę o Makbeta, o zachowanie pozorów i moment załamania się z chwilą, gdy przestaje panować nad sytuacją. Od tego momentu wzbudza współczucie widza, który zapomina, że jest zbrodniarką.

Dziwi mnie, prawdę mówiąc, że postać króla Dunkana wypadła raczej hieratycznie w wykonaniu tak doświadczonych aktorów, jak Władysław Hańcza (w Warszawie) i Aleksander Aleksy (w Lublinie). A przecie można wyszlifować tę rolę na prawdziwy klejnot, czego dowiódł aktor teatru Old Vic, który widziałam w czasie jego występów w Warszawie. Pisałam wtedy, że Walter Hudd był królem-człowiekiem. Kiedy podnosił rannego żołnierza, przypominało to gest Edwarda Wyznawcy, o którym mówi Malkolm, że leczy „dotkniętych zarazą”.

Po szekpirowsku dowcipnie i zabawnie zaprodukował Jerzy Fitio swój wdziancy epizod-intermezzo w krwawych dziejach. Również szczerze szekpirowskie akcenty znaleźli: Kazimierz Siedlecki jako ranny Żołnierz i Cezariusz Chrapkiewicz jako Malkolm (zwłaszcza w niełatwej dla aktora scenie finałowej). Natomiast zawiódł niestety Adam Cieślak (Makduf), taki święty w „Piętej Kolumnie” Hemigwaya! A przecież było i tu co zagrać w scenie, gdzie dowiaduje się o zamordowaniu żony i dzieci.

Mieliśmy też prawo spodziewać się ciekawszej postaci Banka po Januszu Cywińskim, który przyzwyczaił nas do nieprzeciętnej kultury artystycznej.

Trzy czarownice — Elżbieta Jagielska, Maria Kaczkowska i nie wiem kto, bo wymieniony w programie Tadeusz Kuduk podobno nie grał, — z woli reżysera tonęły w mroku i mgłę, trudno więc je różnicować. Nawiasem wyznam — w czasie ich ewolucji wydawało mi się, że wolałabym bardziej naturalistyczne szekpirowskie czarownice, czarownice-postacie mówiące tekst bez zastraszającego syczenia. Gdy jednak zobaczyłam nadmiernie wyeksponowane czarownice Teatru Polskiego, w dodatku z pseudokryształami do wróżby, powiedziałam sobie, że wolę już lubelskie. Ale musi przecie być jakieś tertium. O ile sobie przypominam, nie mnie nie raziło w Old Vic'u.

Od pozostałych postaci tragedii Szekspir nie wymaga wiele. Toteż były one utrzymane w Lublinie w tym stylu, jaki u nas w Polsce tradycyjnie uchodzi za szekpirowski i technicznie przemożną nudą. Muszę przyznać, że i w Warszawie też, choć grali tam wybitni aktorzy, a wyreżyserował rzecz Otto Axer.

Lubelski reżyser, J. Ukleja, wynagrodził widziwo schematyzm kilku postaci żywym tempem przedstawienia, jego barwnością, inwencją w sytuacjach. Wreszcie czytelnością dla szerszego ogółu. Dekoracje zredukował do minimum (co dało w wyniku rytmiczną zmianę scen), za to ołsnął w kostiumach „złotogłowie” i futrami.

W sumie, powtarzam, koncepcja celowa, a jej realizacja celująca.



„Makbet” w Państwowym Teatrze im. J. Osterwy. W roli Makbeta Stanisław Mikulski

(Dokończenie ze str. 2)

zealnego" wydawanego wspólnym kosztem współpracujących województw.

W Rzeszowie eksponowano ogólnopolską wystawę pt. „Martyrologia i walka narodu polskiego w latach 1939—1945” zorganizowaną w Lublinie przez Wydział Kultury Prezydium WRN, ZPAP i BWA.

Zywe odbicie znalazła współpraca w dwutygodniku społeczno-kulturalnym „Kamena”, który redaguje kolegium złożone z przedstawicieli czterech województw. Zwiększono objętość i nakład pisma.

Niemalą udział w jednoczeniu województw ma Wydawnictwo Lubelskie. Wydało ono szereg pozycji z literatury pięknej i publicystyki nadesłanych z województw: kieleckiego, białostockiego i rzeszowskiego.

Nie wyliczając wszystkich form współpracy, trzeba jeszcze wspomnieć o międzywojewódzkich konkursach filmowych organizowanych przez wojewódzkie zarządy kin i federacje klubów filmowych, o wymianie zespołów teatrów lalkowych, o koncertach państwowych filharmonii i chórów, o wymianie teatrów, reżyserów, dyrygentów i scenografów.

Spotkaniem czterech województw na szerokiej płaszczyźnie były: narada stowarzyszeń społeczno-kulturalnych i międzywojewódzka konferencja młodej inteligencji w 1962 r., które poruszyły ciekawe problemy i wysunęły szereg wniosków wiążących dla dalszego współdziałania.

Wśród zaplanowanych form współpracy w trzecim roku istnienia „unii lubelskiej” znalazła się i konferencja poświęcona omówieniu potrzeb i form organizacji muzealnictwa regionalnego. Ważne jest tu niezawodnie tworzenie nowych placówek, ale także konieczne umacnianie już istniejących

poprzez poprawę warunków materialnych, zapewnienie właściwej obsady personalnej i wzbogacenie działalności współczesnymi treściami, opartej o unowocześnione metody ekspozycji.

Dopiero wówczas muzeum regionalne będzie mogło rozwijać właściwie swoją działalność oświatową i naukową, wiążąc ją jak najbardziej z zagadnieniami życia bieżącego we współpracy z istniejącymi na danym terenie instytucjami kulturalno-oświatowymi i organizacjami społecznymi.

W szerokich planach uwspółcześnienia działalności kulturalno-oświatowej poszczególne instytucje k. o. i organizacje muszą się łączyć w swej pracy dla jednego celu — wychowywania człowieka. Nie powinno tutaj zabraknąć i muzeów, których doniosła rola kulturalna jeszcze nie zawsze jest wystarczająco doceniana.

Współpraca czterech województw w dziedzinie muzealnictwa ma przed sobą poważne zadania do wykonania: zebranie jak największej liczby doświadczeń dla tworzenia istotnie nowoczesnych ośrodków muzealnych, wspólne prowadzenie badań naukowych dla określonych nurtów w swej pracy, upowszechnianie wiedzy o znaczeniu muzeów w podnoszeniu poziomu umysłowego i kulturalnego człowieka.

Bo muzeum regionalne będąc ośrodkiem o charakterze dydaktycznym i dokumentacyjnym jest przede wszystkim popularyzatorem niezawodnej prawdy, że z wartościowych tradycji dni przeszłych rodzi się dzień obecny i dzień przyszły.

Zagadnienia te, jako część działań kulturalno-oświatowych, nabierają szczególnego znaczenia w świetle uchwał XIII Plenum KC Partii, jak również w dyskusji nad tezami IV Zjazdu PZPR i nowego planu 5-letniego na lata 1966—1970.

Edward Nadulski

„Wici”, który w polskim ruchu młodzieżowym zapisał sporo pięknych kart, liczył tuż przed wojną w całym kraju około 100 tysięcy członków. Tylko w Kielecczyźnie ZMW skupia obecnie ponad 60 tysięcy członków.

Przy tej masowości zachowany został społeczny charakter Związku. Przy nieustannych w naszym kraju ciągłościach do zetazywania wszelkich przejawów życia nie była to sprawa prosta. Pięć czy sześć lat temu każdy powiat miał dwu pracowników etatowych ZMW. Kół było wtedy w powiecie po dwadzieścia, trzydzieści. Dziś powiaty liczą po 150, 180, a nawet ponad dwieście kół ZMW (Busko), a liczba pracowników pozostała ta sama. Sądzą, że można to uznać za osiągnięcie, tym bardziej że organizacji przybyło obojętności, wzbogacił się wydatnie zakres jej zainteresowań i przedsięwzięć.

Podstawą działania ZMW jest aktywność społeczna. Ale tempo współczesnego życia i organizacji również narzuca m. in. rygor operatywności aktywu. Z tej potrzeby zrodziła się jedna z udanych inicjatyw kieleckiej organizacji ZMW — powoływanie społecznych gromadzkich zarządów Związku. Pomysł ten, spraktykowany w Kielecczyźnie, przyjęty został do realizacji przez całą organizację.

Drugim udanym przedsięwzięciem, które zyskało kredyt w całym kraju, to organizowanie klubów młodego rolnika. Zabrzmiało to może jak przechwalki, ale uważam tę inicjatywę za jedną z najbardziej udanych. Dzięki niej znaleźliśmy drogę do stabilizującej się zawodowo w rolnictwie młodzieży, powstała płaszczyzna jej aktywizacji, forma doskonalenia zawodowego.

Ze podjęcie takiej pracy z młodzieżą starszą było konieczne — świadczy zainteresowanie, z jakim młodzi rolnicy uczestniczą we wszystkich przedsięwzięciach klubów młodego rolnika.

W początkowym okresie, rok 1962/63, kluby takie istniały przy zarządach powiatowych ZMW. Obecnie powstają kluby rejonowe i gromadzkie. Szereg z nich prowadzi już żywą działalność. Wiążemy je bezpośrednio z rolniczymi organizacjami gospodarczymi, takimi jak spółdzielczość mleczarska czy ogrodnictwo-warzywnicza. Daje to młodym rolnikom większe szanse specjalizacji produkcji, kontynuowania nauki rozpoczętej w zespołach i szkołach przysposobienia rolniczego.

O prężności organizacji świadczy m. in. jej zdolność mobilizacyjna. Mamy za sobą kilka konkretnych egzaminów w tej dziedzinie.

Chociażby „Biała Dekada” z wiosny

LITERACKA GRUPA MŁODYCH ZIEMI KIELECKIEJ
PONIDZIE

MARIAN BARAN

Odkupienie

Wielkie są słowa przemijania:

trwale,
jak krzyk wezepiony w mur

[straceńców.

Choć były nieraz jak groteska

z zakapturzoną twarzą.

„O j e z y z n i a n i” znaczyli

[krzyż śmierci;

pędzili po dwóch,

[po tysiąc sto tysięcy —

coraz bardziej przylegali

[do siebie jak wieki.

Jak dziesiątki wieków

zerwanych gąsienicami czołgów,

weiskających mózgi w piasek

za sennie z głodu dzieci,

za strzęp wytartej chusty.

TO BYŁO ODKUPIENIE.

Później spracowane ręce

odgarniały kosmyki z czoła,

aby zacząć od początku.

Dlatego z czasem przemijania

dotykam najkłębiwiej

[kamiennych stronic archeologa,

aby życie liczone było

szkrami nadmogilnych jodeł

i szorstkością spracowanych dłoni.

ubiegłego roku. Przez 10 dni trwały we wsiach kieleckich prowadzone przez młodzież prace porządkowo-higienizacyjne, takie jak porządkowanie zagrod, bielenie obór, budowa gnojowni, zakładanie ogródków warzywnych i kwiatowych itp. Dziewczęta z ZMW założyły 9 tysięcy konkursowych 5-arowych warzywników, co w Kielecczyźnie, pozostającej w dużej niezgodzie z racjonalnym odżywianiem ma spore znaczenie. W br. będzie tych ogródków 15 tysięcy.

Imponującym końcowym akcentem „Białej Dekady” był wyjazd jednej tylko niedzieli na kielecką wieś 500 ekip lekarskich. Inicjatywę ZMW kielecka służba zdrowia uznała za pożyteczną, masowy wyjazd ekip stał się tradycją. Ostatniej niedzieli kwietnia br. pracowało społecznie w terenie 350 ekip. Jest to pożyteczne uzupełnienie prowadzonych przez ZMW szkół zdrowia.

500 kół brało udział w zeszłorocznej akcji żniwnej, prowadzonej pod hasłem „każdy kłós zebrany z pola”. Młodzież niosła pomoc w pilnych pracach wodom, ludziom chorym, niedołężnym. To była dobra lekcja humanitarnego wychowania.

Wymieniłem tu tylko niektóre przedsięwzięcia kieleckiej organizacji ZMW, które należą do cenniejszych w dorobku młodzieżowego ruchu naszego XX-lecia. Sporo z nich kontynuujemy, rozwijamy.

Ale wylaniają się już nowe zadania. Ogłoszone przed zjazdem partii tezy dopinają. Choćby problem kółek rolniczych. Nie jest tajemnicą niedostateczny w nich udział młodzieży, słabe z jej strony zainteresowanie mechanizacją.

By działać na przyspieszenie praktycznego zainteresowania młodzieży tą organizacją, przed kilku tygodniami przystąpiliśmy do organizowania przy kółkach rolniczych młodzieżowych bry-

(Dokończenie na str. 13)

m i t

JAN GOLKA

Spadanie z nieba

W mleku mgły krzywokrzewy
one tu są
złknięte stado ptaków
położone na mgle skrzydła biją
nogi wrośnięte w ciemię góry

one tu są
białe duchy

Pół króla pół żoldaka
spadam zбочem

Skośna Iza przymarza do skroni
opaska mgły na oczach
nie wiem czy ten błąd cień
co z lewa prawa tańczy
wciąż dalszy ucieka
coraz bliższy goni

Spadanie z góry

Psi koncert głośnikiem powietrza
[gdzieś z dołu
krztusi się we mgłę
miękką w kolanach każe sobie spadać
szorstkim kożuchem Radostowej góry

odrywam się od śniegu
lece

półkołem ptak anioł podpity rumem
barbarossa barbarosaaaa
ukłony od króla Etiopii
krzak jego brody utkany z oddechu
siatka szklanych rurek
krew w nie wbiega
brozole z białego dymu płóropusz
do wiosny Radoście spadamy

[po śniegach

Na ścianie klonowskiego stoku

[bura zielen

na łysinach skrzynie

wiatr drze mgły

słońce impresjonistów wcieka

[w błękitny parów

w parowie dancinng zajęczy

bieg syczy pod falą brzożowej

[koronki

drżący slerp lodowej rzeki

i droga

w końskie zaplątana dzwonki

Tu śnieg ciepły

zapach krów i chleba

stoczyłem się w kamień niezdarzy

[i ciężki

już stoje

stanąć musi to spadanie z nieba

ADA KOPCIŃSKA

Po śladach

Rodzicom poświęcam

W kamieniu nie ma wcale
Wielkiej ciszy
On formowany wciąż stopą
Idących

Kołem dorożki co rzadko
Tu jeździ
Rozmawia z drzewem samotnym.

Może jest pełen drobnutkich żyłtek
Co go laskoczą
I drażnią bez końca

A może dusza jego
Może rdzeń jej guńje
Więc teraz głośno broniąc się
Pyta to drzewo

O liście

Co z nimi dalej.

Czyżby chciał dotrzeć gdzie koniec.

Rzeźby tu nie będzie

Nie będzie nawet schodów

Ni filarów

I cóż powiadczy że on był

Że istniał.

W centrum współczesnych problemów wsi

JAN ŁYSEK

ILEKROĆ wypadnie mi mówić o dorobku Związku Młodzieży Wiejskiej — odnoszę wrażenie, że to przedwczesny temat. Przecież dopiero co montowaliśmy pierwsze komórki tej organizacji.

Dopiero co? Wszakże od czasu powstania ZMW minęło z górą 7 lat! Ani się obejrzelismy.

Wrażenie przedwczesności, które zresztą odnosi wielu innych moich kolegów, ma — jak sądzę — źródło następujące: ZMW jest w stadium ciągłego rozwoju. I to pod względem liczebności, jak i form działania. Od siedmiu lat nie było właściwie jeszcze większej okazji, by zatrzymać się, rozważyć skrupulatnie co i jak zrobiono. Oceny dokonuje się w marszu. I to dość pospieszonym. Do tego zmusza życie, którego tętno i na wsi w ostatnich latach poważnie wzrosło.

To na pewno jest sprzyjająca rozwojowi organizacji sytuacja, że na naszej wsi każdego miesiąca, tygodnia rodzą się nowe problemy, w których rozwiązywaniu niezbędny jest udział zorganizowanej młodzieży.

To jest klimat konkretnego działania. Klimat stwarzający warunki i konieczność odnawiania form pracy, nieustannego szukania nowych kształtów aktywizacji młodego pokolenia wsi. Oczywiście narzuca to aktywność organizacji ostre tempo pracy, wymaga dużej operatywności, pomysłowości.

I tu — sądzę — można mówić o bodaj największym dorobku Związku Młodzieży Wiejskiej: o sprawności i zdolności do nadążania za wymogami dnia, za postulatami młodzieży.

Trudno sobie dziś wyobrazić realizację programu organizacji młodzieżowej, bez jej masowego charakteru. Ten warunek można uważać za dopełniony ze strony ZMW. Takiej liczby młodzieży w całej historii ruchu młodzieżowego nie skupiała na kieleckiej wsi jeszcze żadna organizacja. Można zresztą przytoczyć przykład dość przekonujący. Związek Młodzieży Wiejskiej R.P.

REPORTAŻ PROWINCJONALNY

JERZY MATA CZYŃSKI

BOHATER

nych oraz niesłusznych decyzji kogoś tam, a zatem podmiotu bezosobowego, a więc fortuny.

Zimą na ulicach, wśród hałd podmokłego śniegu, stoi woda, na rogach sterczą fececi w kępach (przepraszam), inni zniechęceni w miejscach, gdzie powinni pracować; ręka w kieszeni, w drugiej papieros, o mur kamienicy oparta łopata lub miotła. Wieczorem kawiarnia, restauracja, albo klub ZMS, gdzie (według niesprawdzonych wieści) młodzi ciągną wino i ślepią w telewizor. Wieczorem dom, książka, zacierpnięta z biblioteki, około 9 tysięcy voluminów liczące, co nie rachując niemowląt, wypada po jednym egzemplarzu na obywatela 12-tysięcznego miasteczka.

Latem (byłem tam kiedyś) słońce, rzeka i las. Wieczorem fececi z odkrytymi głowami, w koszulach o podniesionych kołnierzach, wystają na winklach. Wieczorem restauracja, kawiarnia, dancng nad rzeką, na tarasie wbudowanym stromo w nurt niby ściana młyna lub weneckiego pałacu. Wieczorem dom, lampa etc... etc...

Zimą szaro, latem barwnie od liter na szklanych szydach głoszących europejsko: **OBUIE — PRESELEK-CJA** (exemplum). W kinie idą „Krzyżacy”.

— Miasto obok kultury — jak wyraził się bohater. Może kultura obok miasta, trudno rzec.

Istnieje poza miastem, co ustawicznie starał się sugerować. Jednakże jest w nim, pomimo własnych sugestii i rezerwy, tak ściśle zaintrygowany, jak może być tylko nauczyciel. Toteż kiedy przechodzimy ulicą, przeskakując kałuże, bohater raz po raz czyni skłon w pozdrowieniu, czasem przystaje i rozmawia chwilę, niekiedy na wrzaskliwe, szydercze „dzieńdobry” dzieci nie reaguje; jest znany, sam zna wiele osób; wokół niego spiata się węzeł spraw już rozpoczętych, planowanych i zakończonych.

Jego emigracja z miasta przypomina ów exodus okularników z piosenki Osieckiej, przypomina także dzieje magistra opuszczającego miasto z artykułu — nie wiem czemu dyskusyjnego — zamieszczonego bezimiennie w studenckich „Konfrontacjach”. Lecz o tym później.

W okresie studiów na wydziale filologii polskiej SN w Lublinie jest znany jako poeta młodego pokolenia, a raczej jego odtamu skupiającego się początkowo przy Wojewódzkim Domu Kultury, a później w klubie „Zamek” przy tymże WDK.

Po ukończeniu studiów, zrządzeniem opatrności czy szatana, żeni się i fakt ten przepolawiający życie każdego mężczyzny zmusza go do postępowania każdego mężczyzny, a więc do wytyżonej pracy skierowanej ku upchaniu portfela. Zona jeszcze studiuje.

Po roku tropiąc własne szczęście i własną małą ekonomikę, do której ogólnie zalicza się mieszkanie i pieniądze (FORSE), opuszcza, jeżeli nie wielkie, to średnie miasto, osiedlając się w małym i odległym.

„Musiałem to zrobić, bo w Lublinie nie miałem odrębnego mieszkania, bo tu mieszkają rodzice żony, bo tu otrzymałem mieszkanie. Żona oczekiwała dziecka”.

Taki jest koniec jego wielkomięskiej biografii.

Tutaj w małym mieście uczy w szkole i od dwu lat nie się w jego życiu nie zmienia; może tylko budynek szkoły z ciśnień na obszernych grnachs szkoły-pomnika, może adres i proporcje podziału czasu pomiędzy pracę i dom, pracę zawodową i pozostałe, pracę i poezję.

„Być może nie jestem takim nauczycielem, jakim być powinienem, lecz sam wiesz, oprócz tego chcę jeszcze coś robić”.

Trudno przyznawać to oświadczenie ze zdziwieniem, jeżeli weźmiemy pod uwagę większość pedagogów funkcjonujących w Polsce. Dobry nauczyciel, a zatem ten ideał definiowany być może w jakichś podręcznikach bez uwzględnienia osobowości konkretnego podmiotu, nie może być w pełni osiągalny, gdyż nawet ideału wyznaczonego własnym obowiązkiem można dojść dopiero po latach.

Jego inne zajęcia, no cóż, są na miarę miasta; prowadzi chór szkolny, ustawicznie wkrzesza zespoły muzyczne i estradowe przy miejscowych spółdzielniach pracy, pisze na ostatniej stronie wojewódzkiego dziennika, stronie, która dotyczy jego miasta, powiatu, do jakiego należy miasto.

Mówi o tym obszernie i z przyjemnością, że chwilami obawiam się, iż próbuje mi imponować. Ale nie, przypuszczam, że on po prostu musi działać, ażeby bierność go nie uspiła, więc jest aktywny i to w jak najbardziej realny chyba sposób, w czynię.

A gdzie tu miejsce na poezję?

— Pisziesz wszakże? — pytam.

Umyka wzrokiem w bok.

— Niewiele, trzy, pięć wierszy na miesiąc. No i te notki informacyjne prasowego korespondenta, ale to się nie liczy.

AKCJA

Rano należy wstać, uczynić to wszystko, co każdy ma do zrobienia we własnym domu; pójść do szkoły, potem wrócić do domu; wyjść, wykonać wszystkie dodatkowe prace, wrócić, zasnąć.

Spokojna szara egzystencja. Piękne życie.

Tyle informacji. Chciałbym tylko jeszcze poruszyć pewną sprawę, a raczej porównać dwie postawy, ale nie świąty.

Otóż wszyscy, zapewne, natknęli się jakiś czas temu na zamieszczony

(Dokończenie na str. 16)

Niekiedy rankiem, w sobotę, natrafiam na jego wiersz w kulturalnym dodatku dziennika, czasem — również rano — listonosz przynosi jego listy. „Napisz czy coś się robi, może coś już uczyniono. Ja jestem dość daleko od was i nie bardzo mogę za tym wszystkim nadążyć. Mam kilka nowych wierszy. Napisz do mnie”.

MIJESCE AKCJI

Sto czterdzieści kilometrów od Lublina, a raczej należałoby odległość osiemdziesiąt kilometrów w wiorstach, w powiecie, którego stolicę oznaczono w atlasie zielonym kółkiem, co ma oznaczać przewagę przemysłu drzewnego, jeżeli nie znaczy — wyłączność tego właśnie przemysłu, położone jest miasto Międzyrzec Podlaski. Pamiętaj — miasto i mów miasto, jeżeli nie chcesz, ażeby twój rozmówca nagle zamilkł i spojrzal gdzieś poza ciebie, a później udzielał odpowiedzi niechętnych i aż nazbyt lapidarnych.

To miasto ma dwanaście tysięcy mieszkańców, a więc więcej niż stolica powiatu Radzyń, dwa zakłady przemysłowe (pojmowane *largo sensu*) wysyłające w szeroki świat jajka, szczerki i pędzelki, rozległe powiązania z Lublinem, a to w postaci oddziału lubelskiego dziennika, zamiejscowy wydział sądu (więc pewnie i palestrę), kino, kościół (więc pewnie i proboszcza), hotel i pomnik. Trochę budowy i nieco skandalu wokół kobiety, powiedzmy bezprizornej, o czym swego czasu nawet prasa (ta posiadająca miejscowy oddział) pisała. Clochemerle i Nowa Huta, lecz oba wizerunki nieostre, tworzące model polskiego miasteczka lat sześćdziesiątych, jakich jest sto, a których obywatele zgodnie twierdzą, że powinny stanowić ośrodek powiatu, a nie są nimi tylko wskutek niewytłumaczal-

W centrum współczesnych problemów wsi

(Dokończenie ze str. 12)

gad remnotowo-konserwacyjnych, obejmujących stałą opiekę nad sprzętem i maszynami rolniczymi. Mamy tych brygad już 250. Nie tylko są, ale i pracują. Pracują już i maszyny przez te brygady doprowadzone do porządku.

Nie wspominałem jeszcze ni słowem o działalności kulturalnej.

Ta dziedzina pracy organizacji młodzieżowych jest szerzej w społeczeństwie spopularyzowana. Wiadomo, że głównym oparciem dla amatorskiego ruchu artystycznego na wsi od kilku lat są kółka ZMW. Że w organizowaniu klubów książki i prasy „Ruch” współuczestniczy praktycznie i energicznie ZMW, choć boczy się na to resort kultury, z Ministerstwem włącznie.

Konkursy czytelniczy (prowadzimy w Kielecczyźnie regionalny konkurs na odznakę czytelniczą im. Stefana Żeromskiego), seminaria dla młodej inteli-

gencji pracującej na wsi, organizowane w Uniwersytecie Ludowym w Rożnicy — to także przejawy pożytecznych przedsięwzięć w upowszechnianiu kultury.

Trzeba też jednak powiedzieć, że w tej dziedzinie w Kielecczyźnie jest jeszcze moc do odrobienia. A przecież rodują się, i to szybko, nowe potrzeby i wymagania.

Nie możemy o nich myśleć w oderwaniu od spraw produkcji rolnej, a więc i poziomu materialnego, od zagadnień rozwoju małej i dużej cywilizacji środowisk wiejskich. Zbierających chude plony, „kapiących” się na bajorowatych drogach, nieracjonalnie odżywianych, żyjących w kolizji z higieną trudno dźwigać na wyższy poziom kultury. Rozumie to już młodzież naszego Związku.

Dominujące jeszcze kilka lat temu takie tematy w dyskusjach młodzieżowych, jak świetlica, zespół artystyczny, rozrywki, nie uszły z pola widzenia, ale w całokształcie podstawowych problemów pracy i życia na wsi, podejmowanych przez młodzież, zajęły bardziej właściwe miejsce. I to również uważam za poważne osiągnięcie.

Jan Lysek

WIERSZE WYRÓŻNIONE W LUBLINIE NA KONKURSIE MŁODYCH TALENTÓW POD HASŁEM „MOJA OJCZYZNA I JA”

JAROSŁAW ANDRZEJUK

Wyprowadzka

(IV miejsce)

Spiera się od wczoraj dziadek obchodząc podwaliny do zbijania masła, tu patronat pratehawca drewniane zasuwę do wpuszczania gości.

Zamiast okien przerosłych pelargonią los wrzucił tu jaskółki.

Ze starego pieca tuska dziadek cegły wczorajszego dnia potem ogląda palce — harmonijka uwieźla w nich melodią potem nad sadzawkę żabią od pradziadów tu. Nad sadzawką.

Tyłoń i kij broda zatopiona przy brzegu kiedy pod obład trawy opadły na powleki. Wspierał się dziadek o kij wspierał wspierał co wyczał po pięści lazło — wycisnął sęki.

ANDRZEJ CIBA

Wiosna

(III miejsce)

Rozezapierzone palce wiatru Przegarniają czupryny drzew. To chyba wiosna, pora kwiatów. To chyba wiosna, pora leż.

Na cytrach płotów białe dłonie światła zabręczą To wiosna. Pora ptasich lotów z niecią pajęczą Od świtu do zachodu horyzont szerszy Dni mają barwę miodu, dźwięk i smak wierszy

Słońce jak wielki jeź ubrany w złote kolce Opada na gaje wierzb, maszeruje przez całą Polskę Do każdego dnia zagłada, puka w szybę, dzieńdobry... I przeganania z kąta do kąta Resztki zimy i smutków marcowych.

W taką porę okna otwarte Oddychają powietrzem kwietnia Każda chwila jest miłym żartem Każda chwila serce rozświetnia.

Wiosno! Nieśmiała zieleń jak dywan wkoło roztozcz I śmieję się pogodnym niebem Nad Polską.

KRYSTYNA MAKUŁA

Człowiekowi robiącemu narzędzia

(II miejsce)

Weź myśl, weź kamień szorstki, a niezbyt pełny. By sklepienie do mięszu wiodło Mrokiem kruchym, Chłodem łagodnym, doskonałym Niepokój weź i mił kolorów W jaskiniach zawieszając, zostaw Nie bierz atomu...

RYSZARD KORNACKI

Liryk zimowy

(V miejsce)

Zonie

W śniegu migotliwym przegląda się czułość nieba i czerwień ukradzioną jest na polczkach zdziwione drzewa nie mają siły strząsnąć ciężaru zimy Zaclerasz wtedy ręce jak białe dwie kule które za chwilę zarzucisz mi na szyję

ROCH SĘCZAWA

Szara modlitwa

(I miejsce w Lublinie i IV w konkursie ogólnopolskim)

Najczulsze chciałbym, hrubieszowska, dać ci słowo. Ale nie umiem, ziemia pełna buraków Snopami pszenicy w czasie żniw lizana Zaczynająca rumienić się cegła. Za chałupy, w których skleciłś mnie I mych przyjaciół.

Dobra jesteś. Groby na twoich polach nikogo nie straszą krzyżami Obsiane są i rodzą. Twoje drogi nie wznoszą pięści wierzb, Są czule Od nich dziewczęta Jesienią powinny się uczyć Sztuki całowania.

Pod twoim szarym niebem Wśród twojej szarej równiny, Szarą modlitwę układał Jeden z twoich szarych synów. Nie mniej mu za złe, Że nie ostrzem lemiesza Nie miej mu za złe, Że nie warkotem traktora, Nie miej mu za złe, Że nie ciągiem szosy, Buraków pełna, Błogosławiona pszenicą.

WPRZECIWIENSTWIE do rozszereżonych opowiadań, których wiele pod pozorami powieści wchodzi na rynek księgarski „Sennik współczesny” Tadeusza Konwickiego oferując czytelnikowi rzetelną lekturę. Zarówno przez dostatek materiału pisarskiego nie obliczonego na pośpieszne wejście w okładki, jak i rozległość problematyki jest to powieść w tym ostatnio dość rzadko spotykanym, istotnym znaczeniu.

Genealogia współczesności? To chyba najczęstsza wykładnia książki Konwickiego. Ale nie wydaje się posiadać uzasadnienia poza zwykłym sensem chronologicznym. Przeciwnie: cel eksplikacyjny jest tam najmniej do zauważenia, dominuje zamiar przedstawienia specyfiki wydarzeń, a nie ich wymowy. Specyfika ta to konglomerat wspomnień, niejasnych sytuacji życiowych, poszukiwań stabilizacji, jakie były udziałem polskiego społeczeństwa zaraz po wojnie.

Poetyka snu i metodyka snu. Fragmenty wizji wplecione w tkanę rzeczywistości. Inaczej „Sennik współczesny” w ogóle nie byłoby do odczytania, stałby się konglomeratem nieskoordynowanych fragmentów. Ale i wtedy zachowany zostałby jego zasadniczy walor: nieschematyczny obraz przeżyć pierwszego powojennego okresu. Okresu pełnego pogłosu wydarzeń okupacyjnych, komplikacji wywołanych konspiracją, rozdzierających tragedii osobistych.

Jest „coś” w powietrzu tego miejsca, w którym się toczy akcja powieści. Ludzie niby pracują po sklepach, układają szyny kolejowe, zrywają jabłka, ale zasadniczym dysponentem ich losu jest rzeczywistość niemal metafizyczna, składająca się w części z wiadomości powikłań okupacyjnych, w części z jakichś determinant ontologicznych. Odczytanie ludzkiego przeznaczenia odbywa się tam

via Psia Gwiazda. Regina jest piękna, rozkwitła dziewczyna o „pełni kobiecości” i nieskomplikowanym stosunku do życia, mimo to nie będzie jej dane osiągnąć prostego szczęścia. Paweł nawet usiłował samobójstwem nie uwolnić się od kompleksów partyzanckich wplątując się w erotyczny „U-

Skąpani w mroku

ZYGMUNT MIKULSKI

tworzenie sztucznego jeziora mieszkańcy wsi przyjmują jak potop. Gdyby „Sennik współczesny” doczekał się ekranizacji, prawie całość rozgrywałaby się w tonacji ciemnej, w obrazach przytłumionych ciężarem nocy.

Jednakże powieść nie ucieka w stronę sensacji połączonej z kolorystyką drugiej piątki lat czterdziestych. To nie „polski western” polegający na ożenieniu Hitschocka z tezą polityczną. Jakkolwiek nie rezygnuje z materiału fabularnego, jakim dowolnie szafować można na rachunek czasu, nie wyczerpuje się w powierzchownej ekspresyjności „dynamicznego” konkretu. Daje rzetelną próbę analizy zamierzonej sine ira, pragnie wyedukować sens życia, prawdę czasu przyszłego.

Tu jednak natykamy się na jakąś pustkę. Hiatus. Autor nie prowadzi losów ludzkich ku typowym rozwiązaniom, jakich można by oczekiwać, jeśli się rzecz traktuje pod kątem „genealogii”. Wszystko zmierza ku katastrofie. Regina nie mogąc doczekać się „dużej miłości” urządza „duże we-

sele”. Milicjant — trochę Pizczak — nie wyjdzie z błędnego koła zakreślonego męskimi skłonnościami i kontrolą żony. Partyzant kompromitując przegra swą decydującą próbę pici. Mieszkańcy wsi ustąpią przed zalewem nie rozegrawszy do końca swych spraw nurtujących to dziwne, zacofane i zakompleksione środowisko. Znowu za ludzi wypowie się metafizyka, metafizyka w postaci techniczno-ekonomicznego zjawiska. Sztuczne jezioro, czynnik postępu jako „Mane Teke! Fares” mentalności, która musi przegrać z czasem, ale przegrywa w „nierównej walce”, a nie na skutek wewnętrznej skazy.

Czy wobec tego Konwicki założył w powieści jakieś „wnioski”? Nie. „Sennik” to nie historiozofia, to malarski portret. Jak najdłużej, na ile się da towarzyszyć przeżyciom człowieka — takie się czuje założenie pisarskie. „Na ile się da”, to znaczy do momentu, w którym powieściowego bohatera przejmują od pisarza sama rzeczywistość.

A więc jeszcze jeden „obraz”, „dokument”, „przyczynek”? Nie są to określenia pejoratywne — wobec wysokiej na ogół pisarskiej klasy beletrystyki okupacyjnej. Ale Konwicki nie poprzestaje na wyłącznym świadectwie czasu. Stara się o poruszenie czytelniczej wyobraźni w kierunku refleksji „ogólnoludzkich”, narastających niejako samoczynnie na kanwie pisarskiego materiału. Sennik daje na ogół enigmatyczne egzegazy. „Sennik współczesny” postępuje podobnie, z tym jednak, że nie konkretna treść stwierdzenia zajmuje tu plan pierwszy, ale materia życia i przeżycia, młodszy wydarzenie, tonacja uczucia i nastroju. Bardziej pokazuje co się „śniło”, niż stawia horoskopy wynikające z historycznie stwierdzonego układu „sennych widziadeł”.

* Tadeusz Konwicki: „Sennik współczesny”, Iskry 1963, str. 341, cena 18 zł.

świecie lekceważenie odbiorców kultury zamieszkałych w małych i małych ośrodkach naszego kraju. Owych ludzi, którzy przecież stanowią przytłaczającą większość społeczeństwa polskiego. I czyż — szczególnie w tej sytuacji — można powiedzieć, że stanowią oni audytorium jakiejś gorszej kategorii, dla której samo pojawienie się wielkomięskiego aktora bywa wielkim przeżyciem? Bywa, a jakże, ale tylko wtedy, gdy otrzymuje się od niego to, czego się oczekuje.

A oczekuje się wiele. Właśnie tyle, ile trzeba. Współcześni odbiorcy kultury z małych i najmniejszych ośrodków niczym nie przypominają swoich poprzedników w tym względzie sprzed lat, powiedzmy dwudziestu kilku. Zmienił się wraz z całym krajem. Miedzy innymi dzięki temu, że jednak większość imprez kulturalnych, z którymi się do nich przyjeżdżało i przyjeżdża, jest wartościowa i kształcąca. Zmienił się dzięki randez vous z wielkim światem, które nastąpiło choćby poprzez telewizję. Poważni pisarze i publicyści, politycy i artyści, różni tzw. interesujący ludzie, którzy wyjeżdżają na spotkania z owym prowincjonalnym konsumentem, wracają zdużeni jego poziomem, szerokością zainteresowań, umiejętnością oceny sytuacji w Polsce i w świecie, dobrą informacją.

Traktują więc swoje małomiasteczkowe audytoria z właściwą uwagą i szacunkiem, uczuciami odwzajemnionymi po wielokroć. Takich prelegentów i reprezentantów dobrej wiadomości jest wielu. I dzięki temu sytuacji, o której mowa, możemy w skali ogólnej ocenić jako dobrą, a niekiedy nawet bardzo dobrą. Jednakże fakty, które przytoczyłem na początku tej relacji, istnieją i powodują określoną szkodę, choć nie są zjawiskiem powszechnym. W końcu manka, znane w naszym handlu, też nie są zjawiskiem powszechnym, a przecież odgrywają wyraźne destrukcyjną społecznie rolę. Co więcej: rzucają złe światło na ogół handlowców — ofiarnych, uczciwych, oddanych swemu pożytecznemu zajęciu.

Analogia do przedmiotu tej mojej relacji nasuwa się, wydaje mi się, bez większych trudności. I dlatego wszelkie „odfajkowanie” w upowszechnianiu kultury jest groźne i szkodliwe społecznie. Musi być temu wydana bezwzględna walka. Oczywiście, nie bądźmy jednostronni. Istniejącemu stanowi rzeczy winni są nie tylko lekomyślni czy nieuczciwi prelegenci. Często-gęsto zdarza się, zwłaszcza w tzw. trudnych środowiskach (określenie to mnie bynajmniej nie przekonuje), że się ciekawą nawet prelekcją najwyżej deprecjonuje, wprowadza do roli jakiegoś narzuconego epizodu, uciążliwego punktu programu. Obiecuję się mianowicie na zakończenie wieczoru atrakcyjny film. Dla tych, oczywiście, którzy wytrwają. Dzieje się tak nawet w wypadku spotkań pisarzy z czytelnikami. Myślę, że jest to upokarzające dla owych wszystkich prelegentów, autorów itd. Stawia to ich na płaszczyźnie intruzów i natrętów.

A przecież prawda jest inna. Ludzie ci są oczekiwani i serdecznie przyjmowani. Nawet ci, którzy sprawią bolesny zawód. To się bowiem okazuje później. Zaw sze później. Odfajkowałyście i niedbaluchy wiedzą o tym. Nie przeszkadza im to jakoś. Sądzą widzieć, że jako intelektualści czy artyści z innej ulepieni są gliny. Lepiej. Więc wystarczy nieomal że sama ich obecność, a przecież nie są antycznymi rzeźbami służącymi do oglądania tylko, nieprawdaż?

Wiem, że poruszam temat drażliwy i w określonych środowiskach na pewno niepopularny. Wydaje mi się jednak, że właśnie dziś, kiedy sumujemy nasz dwudziestoletni dorobek w dziedzinie uspołecznienia kultury, intensywnie działalności masowo-kulturalnej, warto pomówić o hamulcach rozwoju. Ież to czasu ludzkiego, wysiłku i pieniędzy pochłonył różne że przygotowane imprezy, niedbale i lekomyślnie! Ież hałasu było o nic! Ież razy różni organizatorzy przygotowawali wszelakie wydarzenia nie myśląc o korzyściach, jakie mieć z tego będą masy odbiorców.

Warto przypomnieć, co przed laty kilkunastu w książce pt. „Uspołecznienie kultury” pisał prof. Bogdan Suchodolski: „Idea uspołecznienia (...) przeciwstawia się fikcjom i hipokryzji kultury martwej, ale pozornie czci godnej, przeciwstawia się fałszom kultury — ozdoby, przeciwstawia się czynieniu z działalności kulturalnej kapliczek dla wtajemniczonych, prowadzeniu jej pod hasłem izolacji i obójnej wyższości w stosunku do tzw. mas”.

Właśnie.
Bolesław Bartoszewicz

REFORMA WYKONYWANIA ZAWODU ADWOKACKIEGO

(Dokończenie ze str. 7)

z „własnych zarobków” muszą uzupełniać udział w dochodzie kolegów o minimalnych obrotach. Nie mają oni racji. Źródło ich błędu tkwi w niewygasłym przekonaniu, że zespolo to parawan dla indywidualnych kancelarii. Zespol, w myśl nowej ustawy, jest to „podstawowa jednostka organizacyjna adwokatury”. Jest więc jednostką przypominającą biuro lub urząd. Każdy członek zespołu, tak jak w biurze, jest obowiązany do wykonywania pracy, jaką mu przydziel kierownik, i jest uprawniony do otrzymania uposażenia mającego charakter źródła utrzymania — niezależnie od tego, czy ma „własnych” klientów czy nie. Adwokaci „wzięci” nie zdradzali, o czym była mowa wyżej, chęci prowadzenia indywidualnych kancelarii, kiedy mogli to uczynić, tj. pod rządem dawnej ustawy i nie ujawniali również chęci stworzenia takiego stanu rzeczy w okresie tworzenia nowej ustawy. Stąd wniosek, że adwokaci chcą pracować właśnie w zespolu jako organizacji dla siebie wygodnej. Muszą więc ponieść konsekwencję tego wygodnego dla nich stanu rzeczy (nie grozi im widmo „domiarów” podatkowych). Kwota 2.000 zł dla „maluczkich” jest to kwota istotnie nie adekwatna dla fachowca z wyższym wykształceniem po odbytych aplikacjach i egzaminach, nie mówiąc już o wieloletnim stażu hardzu wielu z „maluczkich”. Rada adwokacka jest władna to minimum podnieść. Słychać o zamiarze izby adwokackiej lubelskiej podniesienia wspomnianej kwoty do 3.000 zł. Wielkim walorem reformy jest wprowadzenie społecznego ubezpieczenia adwokatów.

Mimo że upłynęło ledwo parę miesięcy od chwili wejścia w życie nowej ustawy, daje się już słyszeć, że wśród adwokatów istnieją tendencje utrzymania dawnego stanu rzeczy, a mianowicie wskazanie wyżej rozwarstwienia adwokatów na „rekinów”, „średniaków” itd. Ukazał się w „Prawie i Życiu” artykuł adwokata Konstantego Jocz. Autor komunikuje, że występują już tzw. „kominy” w osiaganych przez poszczególne adwokatów zarobkach (podobno aż do 40.000 zł miesięcznie), że wraca fasadowość zespołów, ponieważ stosunek zarobków poszczególnych adwokatów utrzymuje się w niektórych przypadkach na po-

ziomie 1:10 na rzecz „rekinów”, że ci ostatni nadal posługują się „murzynami”, którym za pomoc rzucają „sprawinę” w postaci ochlapów, że rekin „szemrzą” („nie będziemy robić na nich”). Rada adwokacka w Warszawie w związku z artykułem adwokata Jocz wystosowała do redakcji „Prawa i Życia” list, w którym zaznacza, że celowi reformy adwokatury tego rodzaju wystąpienia jak artykuł K. Jocz zle służą, ponieważ podrywają zaufanie do organów adwokatury, wprowadzają ferment w szereg adwokatury i dezinformują opinię publiczną. Redakcja „Prawa i Życia” w odpowiedzi na pismo rady adwokackiej w Warszawie stanęła w obronie adwokata Jocz, uznając metodę jawności, jaką wybrał, za jedyną słuszną, ponieważ „nie ma i nie może być sprzeczności między jawnością a rzeczywistym interesem adwokatury”. Adwokat Jocz również nie pozostał dłużny. Umieścił on w „Prawie i Życiu” odpowiedź pt. „Moim adwersarzem” (nr 9 br.). Okazuje się, że jego „inwektywy” dotyczące tendencji wśród adwokatów „zespolonych” wywołały duże zainteresowanie wśród szerokiej masy adwokatów i wdzięczność ze strony „maluczkich”. W tej swojej odpowiedzi autor m. in. zaznacza, że na skutek interwencji ministra sprawiedliwości w sprawie obliczeń podziału nadwyżki „kominy” znikły i znacznie wyrównało się dysproporcję w zarobkach.

Tylko jawność i niczym nie hamowana krytyka może przyczynić się do należytego wykonania niewątpliwie dobroczynnych zmian, jakie zawiera nowa ustawa o ustroju adwokatury. Najlepsze prawo może nie dać zamierzonych przez ustawodawców skutków przy złym jego wykonywaniu. Nie ulega wątpliwości, że wobec „złej tradycji” w dziedzinie wykonywania praktyki w zespolach i bardzo elastycznych z konieczności postanowień nowej ustawy, istnieje niemal niebezpieczeństwo spazenia przez wykonawców podstawowej myśli tego aktu normatywnego. Jest sprawą samorządu adwokackiego i opinii publicznej dopilnowanie, by bolączki, które dotąd rzucały cień na dobre imię adwokatury polskiej zniknęły całkowicie. Reforma otwiera w tym kierunku szerokie gościnnie.

Emanuel Iserzon

(Dokończenie ze str. 4)

niowej Polsce zaprezentował „Dziada i Babę”, zaśpiewał „Szumiały jodły na gór szczyty” i wyrecytował „Odeę do młodości”. Repertuar — powie ktoś — zacy i bez niespodzianek. Istotnie. Żadnej niespodzianki nie było. Po trzydziestu minutach wypełnionych podniosłym i patetycznym głosem mistrza oraz gęstymi oklaskami wdzięcznej, zaciekawionej publiczności dystyngowany pan w średnim wieku... zakończył swój występ. Był zdania, że nie powinien się pospolitować, że w miasteczku jest święto z powodu jego przybycia, że więc te dwa kwadransy jak najbardziej wystarczyć powinny. Kiedy później, po iluś tam dniach, opowiadał w wielkomięskim gronie

DO CZEGO SŁUŻY GLINA?

znajomych, nie czując najmniejszego wyrzutów sumienia, przypomniał mi się „Romans prowincjonalny” Kornela Filipowicza z miernym artystą z wielkiego miasta i jeszcze mierniejszym człowiekiem.

Nie raz i nie dwa wdzięczni słuchacze i widzowie z małych prowincjonalnych ośrodków przeżywają niczym nie zawinione rozczarowanie w wyniku różnych recitali, wieczorów, prelekcji. Dzieje się tak wówczas, gdy ich bohaterowie zupełnie nie chcą liczyć się ze społecznymi rezultatami swoich poczyną.

Najwięcej oczywiście zawiniły w tej dziedzinie rozliczne tzw. dzikie zespolo szczególnie intensywnie grasujące po Polsce zwłaszcza przed kilkoma laty, odwiedzając najdalsze miejscowości ze złym repertuarem i jeszcze gorszym wykonaniem. Ale w danym wypadku przeciwnik był wiadomy. Tropiliśmy też go bezustannie: za pomocą prasy, radia, administracji. Wielofrontowa walka dała pożądane rezultaty. Dzikie zespolo przestało nękać nasz kraj. Tym bardziej smutne, że zdarzają się niestety, wypadki, kiedy ludzie, do których się ma zaufanie, stwarzają żenujące sytuacje, wywołując zdziwienie i powodując gorzkie uczucie zawodu.

Jest oczywiście, że poza wszystkimi innymi powodami, dla których tak się dzieje, występuje najwzyczajniejsze w

Dlaczego?

MOJ dobry znajomy, sekretarz partii ze znanej nie tylko w Kielcach fabryki, podsunął mi zagadkę. — Zgadnij — powiedział — ile zebrań mieliśmy w jednym tylko kwartale w naszym zakładzie? Trzydzieści! — strzelłem nieco przestraszony własną hojnością. Sekretarz się uśmiechnął. — Trzydzieści, ale z dodatkowym zerem — powiedział, a minę miał zbolala. Potem z otwartą ręką wyliczył wszystko dokumentnie dzieląc na wydziały, organizacje, związki, stowarzyszenia, z których każde po coś istnieje i musi wykazać się odpowiednim zasobem aktywności. I rzeczywiście, wyszło, że trzyzasta.

Od tego czasu czuję się, jak tyśiącnogi z baśni. Póki nie zastanawiał się, w jaki sposób bezkolizyjnie funkcjonuje jego tyśiąć nóg — postugiwał się nimi sprawnie, ale gdy jakiś zdrajca zaczął go wychwalać, że tylko on jeden wie, co robi jego sto dwudziesta pierwsza noga, wówczas gdy czterysta siedemnasta wyciąga się w przód, że tylko on wie, kiedy zginać sześćdziesiątą, podczas gdy siedemset ósma dotyka piętą ziemi — monstrum kompletnie zgubiło. Patrząc więc ze zgrozą na swoje terminarze wypełnione adnotacjami o zebraniach, z drżeniem otwieram adresowane do mnie koperty w przewidywanym kolejnym zaproszeniu.

Niedobrzy ludzie szybko odkryli tę słabość i co rusz podrzucają mi jakąś świnkę. Niedawno pewien inżynier opowiadał z niewinną miną, że dział, którym kieruje w swojej fabryce, zużywa rocznie na sprawozdawczość dla zjednoczenia 35 kg papieru, trawiąc nad tą pracą tyśiąć dwieście godzin. Innym razem, choć jestem teraz ostrożny i wysłizguję się z objęty zebraniowego szaleństwa, sprawadono mnie podstępnie na posiedzenie prezydium Rady Robotniczej w jednym z licznych kieleckich przedsiębiorstw budowlanych. Kilku mądrych obywateli, w tym większość z cenzusem, w ciągu godziny rozprawiało nad jedynym punktem porządku dziennego, który brzmiał: powołanie komisji gospodarki materiałowej oraz podległej jej pięciu zespołów. Włos mi się zjeżył, znając bowiem strukturę naszych przedsiębiorstw wiedziałem, że gospodarką materiałową zajmują się już trzy ogniw. Mianowicie — zawodowo dział zaopatrzenia, w trybie nadzoru — dział kontroli wewnętrznej i społecznie — komisja ekonomiczna Rady Robotniczej. Nie wytrzymałszy krzyknąłem: Ludzie, nie dajcie się zakląć w capa, ale szybko spostrzegłem, że oprócz prowadzącego zebranie, cała reszta jest absolutnie przeciwko powołaniu nowego ciała. Czyżby zwycięstwo rozsądku? Niestety, po wyrażeniu swego sprzeciwu każdy z obecnych zgodził się na powołanie nowego twor. Cóż, robić, takie było zarządzenie władz zwierzchnich, przeto sprawa została przesądzona.

I tak to dumam gorzko nad terminarzem własnym i cudzym, gdzie nieuchronnie przybywa zapisków o zebraniach, spotkaniach, naradach, które pociągają za sobą pisanie referatów i sprawozdań. Czy tak być musi?

Łączność między ideami a ludźmi uległa zasadniczym przeobrażeniom. Prasa, radio, telewizja, kino, książka, zasypują nas huraganem informacji, dydaktyki i moralizatorstwa. Człowiek jest naszpikowany wiedzą o współczesnych mu celach, jest coraz mądrzejszy i coraz lepiej wie co powinien robić. Czyż wobec tego, że stajemy się coraz bardziej świadomi, czyż nie jest anachronizmem wzrost liczby zebrań i narad, przeloty form organizowania wszystkiego wokół? Najciekawsze, że chociaż wszyscy podpisują się pod takim sprzeciwem, to jednak zebrań, ciał i sprawozdań przybywa. Dlaczego?

Jędrzej

NA RADIOWEJ FALI

Jakiś czas temu Jerzy Dostatni, wypowiadając się służnie za rozszerzeniem współpracy rozgłośni radiowych czterech wschodnich województw (p. „Kamena” nr 3/64), napisał m. in.: „Kielce i Rzeszów pracują wciąż jeszcze w raczej prowizorycznych warunkach”. Tymczasem rozgłośnia rzeszowska otrzymała już przed paru laty specjalnie adaptowany dla swych potrzeb sprzęt techniczny — trudno powiedzieć, że pracuje w prowizorycznych warunkach. Warunki te trzeba raczej określić jako dobre! Chodzi mi jednak o dany moment nie o to nieporozumienie.

Jak wygląda wymiana słuchowisk pomiędzy Rzeszowem a Lublinem? Z inicjatywą takiej wymiany wystąpił Rzeszów i rzeczywiście w lutym otrzymaliśmy 2 słuchowiska lubelskie (a nie 19, jak to sugeruje J. Dostatni). W zamian wysłaliśmy jedno, i mamy nadzieję, że zapoczątkowana w ten sposób wymiana będzie się rozszerzać. Rozgłośnia rzeszowska podejmowała już kroki mające na celu zorganizowanie stałej wymiany nie tylko zresztą słuchowisk, lecz również ciekawszych programów literackich i publicystycznych pomiędzy Rzeszowem a pozostałymi partnerami „Unii”. Wychodząc z założenia, że wymiana taka mogłaby wzbogacić lokalne programy radiowe i przyczynić się do wzajemnego zblizenia sferowanych województw — w czerwcu ubiegłego roku Redakcja Artystyczna Rozgłośni w Rzeszowie zwróciła się z konkretnymi propozycjami do kolegów z redakcji artystycznych Lublina, Kielce i Białegostoku. Propozycje (nadał

zresztą aktualne) zmierzają do wymiany: słuchowisk, audycji poetyckich, audycji typu „opowieści wędrownicze”, audycji z zakresu prozy i poparte zostały projektami 17 konkretnych audycji, od których można by rozpocząć.

Z niewiadomych mi przyczyn nasza inicjatywa nie została podjęta (dopiero ostatnio, jak już wspominałem, dogadaliśmy się z Lublinem). W zupełności więc zgadzam się z konkluzją Dostatniego, że w zakresie współpracy radiowej czterech wschodnich województw jest jeszcze dużo do zrobienia!

Polskie Radio, Rzeszów.

Zbigniew Wawszczak

Do REDAKCJI „KAMENY”

W roku ubiegłym na spotkaniu przedstawicieli środowisk dziennikarskich czterech połączonych Unią województw, wpłynął wniosek wymiany materiałów redakcyjnych. Z przyjemnością stwierdzam, iż pierwsze konkretne propozycje zgłosiła Redakcja Artystyczna Rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie. Dotychczas dokonaliśmy antenowej wymiany czterech audycji — nie jest to cyfra imponująca, ale przecież najważniejsze — współpracę zapoczątkować. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń można już stwierdzić, iż wymiana audycji będzie się rozwijać pomyślnie — z korzyścią dla zespołów redakcyjnych i słuchaczy.

Kierownik Redakcji Audycji

Lubelskiej Rozgłośni Polskiego Radia

Zbigniew Stepek

a Hrubieszów miastem nigdy właściwie być nie zaczął, wiodąc skromne życie osady.

Ożywiona na tym terenie działalność reakcyjnych band polskich i ukraińskich po ostatniej wojnie spowodowała, że nowe dzieje Hrubieszowa zaczęły się dopiero w r. 1958. To wielkie w stosunku do całego kraju opóźnienie spowodowało, że dzisiaj można tam spotkać tyle kontrastów. Pełno ich było przed 19 laty w całym kraju i nikogo wtedy nie dziwiły. Dziś są wyjątkiem i dlatego tak bardzo rzucają się w oczy. Ale jeżeli są, to właśnie dowód, że miasto wreszcie żyje, że zmienia się, że toczy ciężką, ale coraz bardziej zwycięską walkę z przeszłością. Brak jeszcze kanalizacji i wodociągów — ale już są plany, a nawet budowane włas-

nym sumptem zaczęły. Dworzec autobusowy rozłożył się na ulicy, ale mu już wydzielono plac przy rynku i budynek do remontu. Drewniane domki stanowią jeszcze większość, ale w 19 wybudowanych ostatnio blokach mieszka tylu ludzi, ile dawniej w 200 chałupach. Mimo, że nie opracowano jeszcze szczegółów, to przecież w Wojewódzkiej Pracowni Urbanistycznej powstał plan zagospodarowania przestrzennego miasta, chociaż zbyt wolno w stosunku do pragnień, to przecież konsekwentnie realizowany. Jeżeli nie każdego dnia, to każdego miesiąca kontrastów jest mniej, a dojrzałych owoców pracy hrubieszowian coraz więcej. Dojrzałych i smakowitych.

Jerzy Dostatni



Fot. Sł. Butrym
Marian Makarski — Kazimierz nad Wisłą (olej)

PRZEGLĄD PLASTYCZNY

Marian Makarski z całkowitą swobodą operuje kolorem. Można by się w jego obrazach dopatrzeć swoistej zonglerki barwami tworzącymi rzeczywistość, w których rządzą prawa wzajemnych uwarunkowań tonacji, natężenia i kontrastu. To jednak pierwsze i powierzchowne wrażenie. Po pewnym czasie, po nawiązaniu kontaktu z obrazem, dostrzec można, że ten zasadniczy środek malarski podporządkowany jest funkcji emocjonalnej: stwarzania smutnej często poezji. Na przekór bogatej paletce, a może dzięki niej.

W ten sposób z Kazimierzowskich pejzaży zachowuje Makarski ich czynnik najbardziej istotny. Jakim jest atmosfera barwnego zjawiska. Świadome deformowanie brył i powierzchni domów, niejako zaznaczanych tylko sumaryczną plamą, służy także temu celowi („Biała ulica”, olej).

Z punktu widzenia formalisty można by odnaleźć w bogatym zestawie prac olejnych, akwarel i gwaszy wystawionych w salonie lubelskiego BWA, pewne zależności i wpływy, którym ulegał Makarski w ciągu lat twórczości. Sądzę jednak, że fakt zapożyczeń w niczym nie deprecjonuje dorobku twórcy, lecz stanowi dowód odważnego szukania takiej metody obrazowania rzeczywistości, która pozwoliłaby artyście na samookreślenie. Co zresztą w znacznym stopniu osiągnął.

Marian Iwańciewicz, wicedyrektor i pedagog zamojskiego Liceum Sztuk Plastycznych, pokazał w bocznych salach BWA cykl prac zrealizowanych w różnych technikach (akwarela, tusz, techniki mieszane, gwasz), a zatytułowany „Notatki z podróży”. Dodajmy: po Ramunii i Jugostawii.

Zasadniczym celem artysty było, prawdopodobnie, dążenie do względnie obiektywnego pokazania różnorodności i barwy architektury oraz pejzaży wspomnianych krajów. Pewna grupa tych prac może zainteresować rytmiką pląszczyzn, i żywym, zielono-niebieskim kolorystem.

Sylwetka twórcza Janiny Milosiovej jest ogólnie znana mieszkańcom Lublina zainteresowanym sprawami plastyki i

dydaktyki artystycznej. Kierując od r. 1930 Wolną Szkołą Malarstwa i Rysunku przyczyniła się Milosiova do popularyzacji sztuki na terenie naszego miasta oraz położyła znaczne zasługi w wykształceniu kilku pokoleń malarzy i grafików. Ponieważ o perypetiach związanych z utrzymaniem szkoły, która przez pewien okres pracowała także podczas okupacji, pisalem w poprzednim numerze „Kamenu”, ograniczę się jeszcze do wzmianki, że w roku 1961 Milosiova otrzymała Nagrodę Miasta Lublina w uznaniu zasług położonych na polu pracy pedagogicznej i twórczości artystycznej.

W drugiej połowie kwietnia mieliśmy okazję zapoznać się z dorobkiem twórczym Janiny Milosiovej, pokazanym w salach lubelskiego BWA. W skład wystawy weszło kilkadziesiąt olejnych płócien, a także rysunki ołówkiem. Pewnym mankamentem ekspozycji był brak dat powstania poszczególnych prac, co uniemożliwiło przedsięwzięcie kierunku rozwoju twórczości wywodzącej się jeszcze z lat dwudziestych. W tej sytuacji można jedynie stwierdzić wierność estetyce polskiego koloryzmu, bo właśnie kolorystyczne komponowanie powierzchni płótna zdaje się określać zasadniczy charakter twórczości malarskiej Milosiovej. Na czele najciekawszych płócien można postawić „Taniec”, pełen ruchu barw nalożonych energicznymi impastami, a także „Pejzaż letni”, zwracający uwagę harmonią kolorystyczną, wywołującą wrażenie ciepła i spokoju podmiejskich pól. Kilka realistycznych rysunków o miękkiej kresce i poprawnie wykreślonej perspektywie uzupełniają kolekcję.

W jednej z bocznych sal BWA widzieliśmy kilkanaście prac malarskich i kilka rysunków tuszem Marii Nowakowskiej, która swego czasu była także uczennicą „Wolnej Szkoły...”, po czym studiowała w krakowskiej Akademii. Najczęściej opracowanym tematem w twórczości Nowakowskiej jest portret, a także pejzaż i martwa natura. W wypadku, kiedy malarce udało się odejść od narzuconych sobie banalnych schematów kompozycyjnych i nieco niestrawnej kolorystyki, powstało dziełko żywe płynnością form, zorganizowane w sposób malarski i nieprzegadane, jak na przykład „Stare Miasto — Lublin”, wytworzące autentyczny nastrój staromiejskiej uliczki.

I. J. Kamiński

Miasto smakowitych kontrastów

(Dokończenie ze str. 8)

od wielu lat niecierpliwie oczekiwanego kierunku: do szpitala powiatowego. Wielki kompleks budynków, obliczony dla przeszło 300 chorych, niemal całkowicie schował się za drewnianymi chałupami. Budowa tego szpitala ciągnie się — jak mówią miejscowi — niby krew z nosa. Trwa przynajmniej dwa lata za długo, co zresztą potwierdza nowy, piąty z kolei kierownik. Ale szóstego już chyba nie będzie. Na lipcowe święto szpital ma być przekazany do użytku. Razem z pięknym pawilonem zakaźnym i wbudowanymi tam sterylizatorami produkcji czeskiej, pierwszymi tego rodzaju w Polsce — jak nie bez dumy podkreśla piąty kierownik budowy.

Idziemy teraz drogą wśród opłotków w poszukiwaniu owego Nowego Miasta. Wyskakuje nagle między rzadkimi sadami a cmentarzem. Nazwa okazuje się wymyślona na zapas, bo Nowe Miasto to wszystkiego dwa nowe, wprawdzie duże, ale tylko dwa mieszkankale bloki. Jednak tuż obok rośnie już pięć następnych. Mimo późnej pory przy jednym z nich pra-

ują jeszcze robotnicy, odpoczywa tylko wysoki dźwig — co pozwala mi na zrobienie jeszcze jednej notatki na stronie, zatytułowanej „kontrasty Hrubieszowa”. Nieco dalej rozsiadł się piętrowymi murami budynek dużej szkoły podstawowej. Mógłby być bez większego trudu oddany młodzieży z początkiem roku szkolnego, ale nie będzie. Ktoś tam w Lublinie źle zaplanował pieniądze, ktoś inny nie zapewnił dość energicznego wykonawcy — i budowa szkoły będzie ciągnęła się znów „jak krew z nosa”.

I tak śladem hrubieszowskich kontrastów wędrujemy jeszcze kilka godzin, aż gdzieś do nowoczesnej dzielniczki przemysłowej, która wyrasta koło dworca, a więc 4 km od obecnego śródmieścia. Mówimy dobrze i źle o mieście, które od kilku lat przeżywa najdziwniejsze w swoim długim życiu koleje. Zaczęło się „w dzień świętego Michała Archanioła roku pańskiego 1400 w przytomności świadków”, gdy król Polski Władysław wsi Rubieszów prawa miejskie nadał. Minęło blisko sześć wieków, historia niosła ludności jedną wojnę po drugiej,



sztuki — nie istnieje". Jakż jest więc wniosek autora ostateczny?

„Warunkiem normalizacji może być jedynie atmosfera, w której zawodowi pisarze przywrócony zostanie — w nowych warunkach — należny społeczny szacunek i prestiż. Nasza polityka kulturalna powinna stworzyć warunki, w których przekształcenie, że literatura jest działalnością potrzebną i ważną stanie się oczywiste. Jedynie takie przeświadczenie może stać się instrumentem, zdolnym rozbić getto hermetyzmu i przywrócić pisarzom niezbędną więź w społeczną potrzebę literatury jako dzwigni kultury narodowej”.

„Współczesność” drukuje stenogram dyskusji redakcyjnej pt. „O wartości ideowej literatury” z udziałem młodych pisarzy. Tekst jest jednak tak obszerny, iż przedstawiłby go interesującego wątku jest tu zupełnie niemożliwe. Można więc przejść do drugiej ciekawej pozycji numeru — do artykułu „Integracja kulturalna” pióra Witolda Rutkiewicza. Pisze on o ciągłym niedostatkach wzajemnej znajomości literatur państw obozu socjalistycznego. Brak jest wystarczającej informacji, prasa poświęca tej sprawie mało uwagi, wydawnictwa nie tłumaczą wszystkich godnych tego pozycji.

Puławy przeżywają swój renesans i — wydaje się — stoją przed nowym okresem świetności, który zawdzięczać będą wielkiej chemii. Budujące się dopiero zakłady azotowe obrósł już wielką liczbą dziennikarskich i publicystycznych artykułów. Każdy tydzień przynosi coraz to nowe publikacje. W „Tygodniku Kulturalnym” Z. Kraska drukuje reportaż „Azoty chlebem pachnące”, w którym interesująco obrazuje trudną teraźniejszość i świetną przyszłość puławskiego zakładu. „Do Puław wtargnęła chemia. Chcieliście, no to ją macie! Miasto walczyło jak lew o tę lokalizację. Wielki los. Nie bardzo jednak wyobrażano sobie, co za sobą wprowadza taka inwestycja. Teraz chyba już się wie, ale sama li tylko wiedza to stanowczo za mało. Rozbieżność między tym, co się dzieje na budowie, jej potrzebami, a przygotowaniem miasta stała się pogłębia. Nie ma bowiem odpowiedniego zaplecza w postaci dobrze zaopatrzonej sklepów, zakładów spożywczych, czy nawet placówek kulturalnych. Puławiacy myśleli, że zakład będzie dla nich, a tu okazało się, że to oni dla zakładu.

Przy okazji warto poinformować naszych czytelników, że niedawno staraniem Komitetu Zakładowego Partii zaczął się ukazywać dwutygodnik „Echo Puławskie”, który jest pismem nie tylko zakładu, ale całego powiatu. Znajduje tu swój wyraz problematyka polityczna, gospodarcza, kulturalna i społeczna. Pismo zapowiada się interesująco, jest dobrze i zręcznie redagowane, można tylko tej inicjatywie przyklasnąć.

T. K.

W MAJU przypadają tradycyjne Dni Książki i Oświaty i sprawy określone tym tematem znajdują na łamach prasy szczególnie dużo miejsca. W „Kulturze” K. T. Toeplitz poświęca dużo uwagi sytuacji i pozycji współczesnego w artykule „Dziela współczesnego pisarza polskiego”. Zadaje sobie przede wszystkim pytanie, jak wyglądałyby dzisiaj te dzieła wszystkie żyjącego pisarza? Okazałoby się, że najwięcej miejsca zajęłaby w takim wyborze produkcja uboczna, przeznaczona do szybkiego użytku, powiązana z nowoczesnymi środkami rozpowszechniania — prasą, telewizją, estradą. Ilość artykułów, felietonów, recenzji, rozmaitych tekstów użytkowych byłaby większa od dzieł składających się na tradycyjnie rozumianą działalność pisarską. Wynika z tego dosyć proste wnioski, że współczesny pisarz nie utrzymuje się z tego, co przynosi mu rozgłos i pozycję w zawodzie, a więc z powieści, poezji, esejów. Zajęcia uboczne zamieniają się zarówno pod względem czasu, jaki się im poświęca, jak i pod względem materialnym w zajęcia główne, pierwszoplanowe. Obserwacja ta nie jest nowością, ponieważ rzadko kto z naszych pisarzy utrzymywał się z literatury, a jeśli chciał żyć z pióra, to musiał się na stałe związać z dziennikarstwem, jak to uczynił np. Prus czy Sienkiewicz. Model pisarza, o którym pisze Toeplitz, ukształtował się już dawniej. Zmieniła się jednak od tamtych czasów pozycja pisarza i funkcja samej literatury. Dziś pisarz czuje się zdegradowany, jego pozycja obniżona na rzecz wartości nieco innych.

Jedno z głównych źródeł tego zjawiska upatruje autor w zatraceniu skali wartości w dziedzinie produktów kulturalnych, gdzie preferowane są dziedziny służące jak najszerzej konsumpcji dóbr kulturalnych (film, telewizja). Nie oznacza to, aby rzeczywiste rezultaty twórczości telewizyjnej czy filmowej były donioślejsze dla kultury narodowej, niż powieść czy poezja. „Bez wartościowej literatury nie może być mowy o wartościowym filmie ani innej dziedzinie twórczości widowiskowej, podczas kiedy zależność odwrotna — jak wskazuje na to kilka wieków istnienia literatury jako

Drzazgi społeczne

Won z parku!

Wiadomo, że szanujące się pismo periodyczne unika w zasadzie przedruków in crudo z prasy codziennej. Nie możemy jednak oprzeć się pokusie, by nie przedrukować z lubelskiego „Sztandaru Ludu” (nr z dn. 22.IV) wciąż jeszcze aktualnego felietonu znanej przedstawicielki lubelskiej satyry, Mirosławy Knorr.

NARESZCIE, Panie Redaktorze, coś mądrego w tym naszym mieście! U wejścia do parku „Saskim Ogrodem” przez niektórych zwanego została ostatnio umieszczona nieduża czerwona tabliczka z napisem: „Pów wprowadzać nie wolno”.

I żeby nie było wątpliwości, jak to też wygląda ów gatunek na indeksie Zarządu Zieleni Miejskiej będący — obok znajduje się wyrysowana głowa wilczura, sądząc z grymasu pyska — już wściekłego, a w każdym razie takiego, że nie daj Boże we śnie zobaczyć, a cóż dopiero — na jawie, na spacerze w parku!

No i dobrze! No i czas najwyższy! Pies bowiem — jak powszechnie wiadomo — był największym szkodnikiem

i wrogiem naszych ludowych i społecznych ogrodów, zieleńców i skwerków. On ci to bowiem żrąc cukierki, porzuca papierki po ścieżkach, a pod ławkami niedopałki — nie bacząc na kosze do śmieci. On to nie może się powstrzymać, żeby nie urwać tu kwiatka, tu gałązki, nierządno z rzadkiego drzewa... On to tłucze systematycznie latarnie — kule mleczne, iżby nie świeciły nocą (starają się to „odrobić” w dzień), nikt inny tylko on napelnia już o zmroku takim rykiem i wyciem wszystkie zakątki parku, że strach pieszko i niezbrojnie przemycić się nawet chodnikiem wzdłuż Alei Raclawickich...

A deptanie trawy? A straszenie wieiórek? A zostawianie zabłoconych śladów na ławkach w pobliżu muszli koncertowej? A nieprzystojne śpiewy od wiosny do jesieni, że już nie wspomnę o nieprzystojnych propozycjach czynionych kobietom...

O nie! Nam nie wzmówi nikt, że pies — stworzenie przywiązane do człowieka i poczciwe. I zaszczytne i w kańcu. I że prócz kawałka paszтетki oraz wyglądania balkonem potrzebuje pohasać sobie wśród zieleni i czasem oprzeć o drzewo strudzoną łapę...

Niech sobie Kraków ma swoje gościnnie otwarte planty, a nawet kawiarznię z napisem: „grzeczne pieski mile widziane”.

U nas — krótko i jasno: won z parku!

M. K.

MUZEUM

To muzeum jest jedną z najmłodszych placówek naukowych w Polsce. W związku z obchodami XX-lecia PPR przypadającymi w 1962 roku Egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego w Białymstoku podjęła uchwałę o powołaniu do życia Muzeum Ruchu Rewolucyjnego. Ideą przewodnią Komitetu Organizacyjnego, na czele którego stanął i sekretarz KW PZPR — Arkadiusz Laszewicz, było zabezpieczenie możliwie największej ilości materiałów dotyczących dzieł klasy robotniczej, pracującego chłopstwa i innych postępów warstw społecznych na terenie naszego województwa. Okresem, na którym skupiła się uwaga organizatorów Muzeum, są lata 1870—1948. Bo od lat 70-tych ub. wieku, czyli od uwłaszczenia chłopów, możemy mówić o powstaniu na Białostocczyźnie klasy robotniczej, a datą zamykającą omawiany okres, było zjednoczenie PPR i PPS.

Rozpoczął się trudny okres prac przygotowawczych. Dyrektor Muzeum p. Krystyna Szczerba mówi o tym już z uśmiechem, ale roboty było co niemiara. A więc przede wszystkim zbieranie potrzebnych materiałów, czyli kwerendy. Zdjęcia, listy, dokumenty, pamiętki po działaczach, wspomnienia o nich, gazety, ulotki, fotokopie, filmy — wtedy liczyło się wszystko na sztuki, setki. Dziś na tysiące.

Poszukiwania prowadzone były w dwu kierunkach: w placówkach, zakładach naukowych, archiwach, muzeach i wśród osób prywatnych. Wśród tych pierwszych bardzo pomocne były przede wszystkim: Archiwum Referatu Historii Partii przy KW, Zakład Historii Partii przy Komitecie Centralnym, Państwowe Archiwum w Białymstoku, a także w ramach sąsiedzkiej współpracy z Republiką Białoruską — Archiwum w Grodnie. Wspomina m. in. dyr. Szczerba Muzeum na Majdanu i zyciowość mgr Dziadosza, który udostępnił szereg materiałów dotyczących białostoczian, zamordowanych w tym obozie. Pomocą służył również indywidualnie zbieracz, jak np. Aleksander Omilianowicz czy Jakub Antoniak; wszystkie instytucje i osoby posiadające interesujące Muzeum dokumenty, aktywnie włączyły się do prac przygotowawczych i odpowiedziały na apel Komitetu Organizacyjnego.

14 grudnia 1963 r. nastąpiło otwarcie pierwszej wystawy czasowej Muzeum Ruchu Rewolucyjnego — wystawy Polskiego Plakatu Politycznego. Trzeba było sporych nakładów finansowych i znacznie większego nakładu pracy i talentów organizacyjnych pracowników, żeby pomyślnie i w przewidzianym terminie ukończyć remont zabytkowego budynku, tzw. „Domu Koniuszego”, w którym Muzeum znalazło pomieszczenie. W dwa tygodnie po oddaniu budynku, otwarto już pierwszą wystawę. Po niej przyszła następna — „Polska Ludowa w grafice, malarstwie i rysunku”, a obecnie otwarto trzecią z kolei: „Lenin — twórca państwa radzieckiego”.

To tylko część zasadniczej działalności tej placówki, ta część dostrzegalna nawet przez niefachowca, a skromna grupa 3 pracowników działalności podstawowej wraz z dyr. Szczerbą w tym czasie opracowywała naukowo stale powiększający się stan eksponatów, przygotowując

REPORTAŻ PROWINCJONALNY

(Dokończenie na str. 13)

w studenckich „Konfrontacjach” artykuł nieznanego autora, który, tak się składa, jest jednocześnie dość znanym w naszym mieście poetą młodego pokolenia.

Ow bezimienny autor zastanawia się nad perspektywami absolwentów wyższych uczelni, narzekając na co się da i jak się da, potępiając nie tylko owe perspektywy, ale — w czambuł całe niemal życie.

Natrafiamy więc na dwie postawy — teoretyczną i realną, obie podobne, a właściwie identyczne. Tyle, że pierwsza z nich stanowi, zgodnie z zamierzeniami dość znanego poety, problem i klęskę młodego pokolenia zawierającą się w starości następującej, wg autora, tuż po wieku młodzieńczym, stanowi krzywe zwierciadło rzeczywistości. Druga na pewno jest większym problemem, mimo iż jest nieco mniej znany poeta tegoż młodego pokolenia do rangi problemu nie awansuje, traktując ją jak własne życie, na które się godzi i akceptuje.

Pierwsza jest rozpaczą zawiedzionego, druga losem człowieka, lub — wyrażając się ściślej — losem obywatela. Jedna jest prawdą subiektywną — druga powszechną.

Jerzy Mataczyński

jednocześnie to, co dla każdego muzeum jest sprawą najistotniejszą — stała ekspozycja.

Omawiany okres historyczny nauka dzieli na trzy podstawowe okresy: I — lata 1870—1917 (powstanie klasy robotniczej do wybuchu Wielkiej Rewolucji Październikowej), II — lata 1917—1939 (do wybuchu II Wojny Światowej), III — lata 1939—1948 (do zjednoczenia partii). W oparciu o ten podział przygotowywano scenariusz ekspozycji. Okres I opracował scenarzysta ekspozycji. Okres II — Maria Niemiećczuk, Jerzy Joka i Borys Nikitkuk, III — mgr Michał Gnatowski i mgr Henryk Majecki. Po opracowaniu scenariusza rozpoczęło przygotowywanie oprawy plastycznej ekspozycji. Zajęli się tym plastycy warszawscy pod kierunkiem Andrzeja Pańkowskiego.

W chwili, kiedy ten numer „Kamienia” dojdzie do rąk czytelników, stała ekspozycja obrazująca dzieje ruchów rewolucyjnych na Białostocczyźnie będzie już otwarta. Czworomiesięczny okres działalności muzeum jest zbyt krótki, żeby mówić już o ogromnych osiągnięciach w zbieraniu, konserwowaniu, opracowywaniu naukowym, czy propagowaniu materiałów. Niemniej już dzisiaj można docenić dużą rolę naukową tej placówki i zadania, jakie ma do spełnienia. I to na skalę nie tylko wojewódzka.

Aleksander Gabrusiewicz

KRONIKA KULTURALNA

LUBLIN

STUDENCI LUBELSCY ZAINAGUROWALI obchody XX-lecia PRL i Roku Ziemi Lubelskiej zorganizowane w Chełmie przez ZSP. Podczas obchodów, w których uczestniczyli przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych centralnych i wojewódzkich oraz liczni przedstawiciele i województw współpracujących, lubelskie środowisko studenckie otrzymało sztandar ufundowany przez wojewódzkie komitety FJN w 4 województwach.

OGÓLNOPOLSKA SESJA publicystów prawnych poświęcona sądom społecznym odbyła się w końcu kwietnia na Lubelszczyźnie. Przybyli z całej Polski dziennikarze uczestniczyli w posiedzeniach sądów społecznych we wsiach powiatu opolskiego.

CHÓR STUDENCKI „ARION” obchodził w kwiecień pięćdziesiątą rocznicę istnienia. Z okazji jubileuszu, chór wystąpił z repertuarem operowym w sali Filharmonii Lubelskiej. „Arion” jest obecnie jednym z sześciu najlepszych chórów studenckich w Polsce.

PRZEWODNICZĄCA LUBELSKIEGO ODZIAŁU SDP Stanisława Gogolowska otrzymała nagrodę dwutygodnika „Prawo i Życie” za reportaż sądowy w „Sztandarze Ludu” i w „Kamieniu”.

BIAŁYSTOK

W TEATRZE BIAŁOSTOCKIM sezon obfitujący w polskie sztuki współczesne. Po „Pokusie” Gawlika, na obchodach nowego sezonu — na malej „Garsie plasku” Jerzego Przeździeckiego, w reżyserii utalentowanego aktora Teatru Węglerki Grzegorza Galinskiego i scenografii Kuzyszyna, na drugiej zaś „Noćna opowieść” Krzysztofa Chojniskiego, w reżyserii Zygalskiego i scenografii również Kuzyszyna.

KLUB KIEROWNIKÓW KLUBÓW — taką nazwę nosi organizacja zrzeszająca wszystkich kierowników klubów i świetlic Białostocka. Celem organizacji jest koordynowanie pracy tych placówek i dokształcanie kadr pracowników k. o. Ostatnio, przy pomocy związków zawodowych zorganizowano dwudniową wycieczkę do Warszawy, bardzo owocną pod względem korzyści. Zapoznano się szczegółowo z działalnością Domu Kultury Energetyka na Powiślu, analizowano plany pracy, wzięto udział w zajęciach. Potem kierownicy mogli odwiedzić muzea i teatry. Akcja bardzo pożyteczna, aż dziw, że nie podchwycyła jej dotąd inne instytucje, np. na szczeblu wojewódzkim.

KIELCE

KOMISJA UPOWSZECHNIANIA PLASTYKI PRZY CRZZ, powiększona o przedstawicieli ZG ZPAP i dziennikarzy „Trybuny Ludu” oraz „Głosu Pracy”, dokonała w kwietniu przeglądu realizacji porozumienia zawartego między Zarządem Okręgu Kielecko-Radomskiego ZPAP a WKZZ w Kielcach, porozumienia wynikającego z uchwały, która ustala takie współdziałanie na szczeblu CRZZ — Zarząd Główny ZPAP. Wyjazd do szeregu miejscowości województwa kieleckiego poprzedziło spotkanie Komisji z działaczami kulturalnymi, prasą i przedstawicielami środowiska plastycznego Kielce. Poddano szereg omówieniu przebieg dotychczasowych działań mających na celu popularyzację sztuk plastycznych w zakładach pracy Kieleckiej.

W SIEDZIBIE UL W ROZNYCY odbyło się spotkanie reprezentacji Koła Młodych przybyłej z Krakowa pod wodzą Adama Włodka, z członkami Klubu Literackiego „Poniedziałek”. Dwudniowe seminarium przebiegało w serdecznej atmosferze wymiany doświadczeń twórczych i organizacyjnych. Stało się początkiem przyszłej kontynuacji takich spotkań i wzajemnych wizyt w Krakowie i Kielcach.

Unia

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena” • Redaguje Kolegium • Redaktor naczelny Maria Bechzyce-Rudnicka, sekretarz redakcji Zygmunta Mikulski • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7 • Telefon 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa. Zam. 1437 28.IV.64. R-3.